

A knight in full plate armor is riding a dark horse. The knight is wearing a helmet with a visor and a surcoat. The horse is also armored with a bridle and blinkers. The background is a dramatic sunset sky with orange and yellow clouds. The title 'NOC ŚMIAŁKÓW' is written in large white letters across the middle of the image, and 'MORGAN RICE' is at the top. At the bottom, it says 'KSIĘGA 6 CYKLU KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘZNICY'.

MORGAN RICE

# NOC ŚMIAŁKÓW

KSIĘGA 6 CYKLU KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘZNICY

Królowie I Czarnoksiężnicy

Morgan Rice  
**Noc Śmiałków**

«Lukeman Literary Management Ltd»

## **Rice M.**

Noc Śmiałków / M. Rice — «Lukeman Literary Management Ltd»,  
— (Królowie i Czarnoksiężnicy)

Przepełniona akcją powieść z gatunku fantasy, która z pewnością zadowoli zarówno fanów dotychczasowej twórczości Morgan Rice, jak i entuzjastów powieści takich jak The Inheritance Cycle Christophera Paolini.. Najnowsza powieść Rice wciągnie bez reszty wszystkich miłośników literatury dla młodzieży. The Wanderer, A Literary Journal (dotyczy Powrotu Smoków) NOC ŚMIAŁKÓW to szósta część bestsellerowej serii fantasy Morgan Rice, KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY (pierwsza część, POWRÓT SMOKÓW, jest do ściągnięcia za darmo) ! W księdze zatytułowanej NOC ŚMIAŁKÓW Kyra będzie musiała odnaleźć sposób, by wydostać się z Mardy i powrócić do Escalonu z Berłem Prawdy. Tam weźmie udział w największej bitwie swojego życia przeciwko armii Ra, narodowi trolli oraz stadom smoków. Jeśli jej moce i broń okażą się wystarczająco silne, na końcu swej drogi spotka się z matką, dzięki której pozna tajemnicę swego przeznaczenia i narodzin. Duncan będzie musiał zmierzyć się w przełomowym starciu z armią Pandezji. Będzie walczył dzielnie i zaciekle, wygrywając kolejne bitwy, lecz gdy dojdzie do ostatecznej konfrontacji w Diabelskim Kanionie, jego wszystkie dotychczasowe zwycięstwa mogą okazać się bez znaczenia w obliczu okrutnego podstępu, który przygotował dla niego Ra. By odeprzeć atak smoków w Zatoce Śmierci, Alec i wojownicy Zaginionych Wysp połączą siły z Merkiem i córką króla Tarnisa. Aby ocalić Escalon, będą musieli odnaleźć Duncana i wspólnie z nim stawić czoła Wezuwiuszowi. Dramatyczne bitwy, broń i czary doprowadzą do zapierającego dech w piersiach, nieoczekiwanego zakończenia sagi Królowie i Czarnoksiężnicy, które obfitować będzie zarówno w bolesne tragedie jak i w inspirujące odrodzenia. NOC ŚMIAŁKÓW przeniesie cię do świata rycerzy i wojowników, królów i namiestników, honoru i męstwa, magii, przeznaczenia, potworów i smoków. To magiczna opowieść o miłości i złamanym sercu, oszustwach, ambicji i zdradzie. To powieść fantasy w najlepszym wydaniu, która będzie żyć w tobie jeszcze długo po jej przeczytaniu, która wciągnie każdego czytelnika, bez względu na jego płeć czy wiek. Dobra wiadomość dla wszystkich tych, którzy po przeczytaniu całej serii Kręgu Czarnoksiężnika wciąż pragną

więcej. Książki Morgan Rice to zapowiedź kolejnej genialnej serii fantasy, która zabiera nas w podróż do świata trolli i smoków, męstwa, honoru, odwagi, magii i wiary w swoje przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć nietuzinkowych bohaterów, których dopingujemy na każdej stronie książki.. Obowiązkowa pozycja w bibliotece każdego miłośnika gatunku fantasy. Books and Movie Reviews, Roberto Mattos (dotyczy Powrotu Smoków)

© Rice M.

© Lukeman Literary Management Ltd

## Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	15
ROZDZIAŁ DRUGI	19
ROZDZIAŁ TRZECI	22
ROZDZIAŁ CZWARTY	24
ROZDZIAŁ PIĄTY	26
ROZDZIAŁ SZÓSTY	28
ROZDZIAŁ SIÓDMY	31
ROZDZIAŁ ÓSMY	33
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	35
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	37
ROZDZIAŁ JEDENASTY	39
Конец ознакомительного фрагмента.	40



# Morgan Rice

## Noc Śmiałków Księga 6 Cyklu Królowie I Czarnoksiężnicy

PRZEKŁAD: SANDRA WILK

Morgan Rice

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową [www.morganricebooks.com](http://www.morganricebooks.com) i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

### Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„Jeśli po zakończeniu cyklu KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA uznałeś, że nie warto już żyć, nie masz racji. POWROTEM SMOKÓW Morgan Rice rozpoczyna coś, co zapowiada się na kolejną fantastyczną serię powieści, prowadzących w świat fantasy zamieszkaną przez trolle i smoki. Jest to opowieść o męstwie, honorze, odwadze, magii i wierze w przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć silne postaci, którym kibicujemy na każdym kroku... To powieść, która powinna się znaleźć w bibliotece każdego, kto uwielbia dobrze napisane fantasy.”

—*Books and Movie Reviews*

Roberto Mattos

“POWRÓT SMOKÓW porywa od pierwszych stron... Świetne fantasy... Rozpoczyna się – tak jak powinno – trudnościami jednej z bohaterek i zręcznie wprowadza czytelnika w szerszy krąg rycerzy, smoków, magii, potworów i przeznaczenia... Powieść zawiera wszystkie elementy podgatunku *high fantasy*, od żołnierzy i bitew po konfrontacje z samym sobą... Spodoba się każdemu, kto lubi epickie powieści fantasy pełne silnych i wiarygodnych młodych bohaterów.”

—*Midwest Book Review*

D. Donovan, eBook Reviewer

“Pełna akcji powieść fantasy, która bez wątpienia przypadnie do gustu fanom twórczości Morgan Rice, a także fanom takich powieści jak cykl DZIEDZICTWO Christophera Paoliniego... Fani powieści młodzieżowych pożrą najnowszą książkę Morgan Rice i będą błagać o kolejne.”

—*The Wanderer, A Literary Journal* (w odniesieniu do *Powrotu smoków*)

„Porywające fantasy, w którego fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi. *Wyprawa bohaterów* opowiada o narodzinach odwagi oraz zrozumieniu celu życia, które prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla miłośników treściwego fantasy – przygody, bohaterowie, środki wyrazu i akcja składają się na barwny ciąg wydarzeń, dobrze ukazujących przemianę Thora z marzycielskiego dzieciaka w młodzieńca, który musi stawić czoła nieprawdopodobnym niebezpieczeństwom, by przeżyć... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

– *Midwest Book Review* (D. Donovan, eBook Reviewer)

„KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontrintrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce.”

– *Books and Movie Reviews*, Roberto Mattos

“W pierwszej części epickiej serii fantasy *Krağ Czarnoksiężnika* (obecnie liczy czternaście części), odznaczającej się wartką akcją, autorka zapoznaje czytelników z czternastoletnim Thorgrinem „Thorem” McLeodem, który marzy o tym, by dołączyć do Srebrnej Gwardii, rycerskiej elity, która służy królowi... Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje.”

– *Publishers Weekly*

## **Powieści Morgan Rice**

### **KORON I CHWAŁA**

#### **NIEWOLNIK, WOJOWNIK, KRÓLOWA (CZEŚĆ 1)**

**KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY**

**POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ 1)**

**POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ 2)**

**POTEGA HONORU (CZEŚĆ 3)**

**KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ 4)**

**KRÓLESTWO CIENI (CZEŚĆ 5)**

**NOC ŚMAŁKÓW (CZEŚĆ 6)**



**KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA**

**WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)**

**MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)**

**LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)**

**ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)**

**BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)**

**SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)**

**RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)**

**OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)**

**NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)**

**MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)**

**ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)**

**KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)**

**RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)**

**PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)**

**SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)**

**THE SURVIVAL TRILOGY**

**ARENA ONE: SLAVERUNNERS (CZEŚĆ 1)**

**ARENA TWO (CZEŚĆ 2)**

**THE VAMPIRE JOURNALS**

**PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)**

**KOCHANY (CZEŚĆ 2)**

**ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)**

**PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)**

**POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)**

**ZAREČZONA (CZEŚĆ 6)**

**ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)**

**ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)**

**WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)**

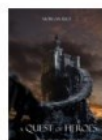
**UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)**

**NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)**

## KINGS AND SORCERERS



## THE SORCERER'S RING



## THE SURVIVAL TRILOGY



## the vampire journals





**Słuchaj serii KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY na audiobooku!**

**Chcesz darmowe książki?**

**Dopisz się do listy mailingowej Morgan Rice, a otrzymasz  
bezpłatnie 4 książki, 3 mapy, 1 aplikację, 1 grę, 1 powieść graficzną  
i ekskluzywne upominki! Aby do niej dołączyć, odwiedź stronę:**

**[www.morganricebooks.com](http://www.morganricebooks.com)**

Copyright © 2015 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejszy e-book przeznaczony jest wyłącznie do użytku osobistego. Niniejszy e-book nie może być odsprzedany lub odstąpiony innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, należy zakupić dodatkowy egzemplarz dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, choć jej nie zakupiłeś, lub nie została ona zakupiona dla ciebie, powinieneś ją zwrócić i kupić własną kopię. Dziękujemy za poszanowanie ciężkiej pracy autora.

Niniejsza książka jest utworem literackim. Wszystkie nazwy, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Jacket image Copyright Algol, © Shutterstock.com.



*Dla Kiry Dean,  
mojej bohaterki, która ma w sobie więcej odwagi niż jakikolwiek rycerz.*



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Duncan brodził w opadającej z wolna wodzie, która rozbryzgiwała się wokoło jego kostek. Otaczały go tuziny jego ludzi, którzy także przemierzali to pływające cmentarzysko. Wokoło unosiły się setki pandezjańskich trupów, które obijały się o jego nogi, gdy brodził w stojącej jeszcze wodzie Everfall. Jak daleko sięgnął wzrokiem, rozciągało się morze ciał. Wypływająca z kanionu woda wyrzucała pandezyjskich żołnierzy i porzucała ich, ustępując na pustyni. Smak zwycięstwa był gorzki.

Duncan spojrzał w dół, na kanion, z którego wylewała się spieniona woda, z każdą chwilą wypływając kolejne ciała. Odwrócił się i spojrzał ku widnokręgowi, ku Everfall, gdzie rwący potok zwolnił do nikłego strumyczka. Poczuł, jak z wolna przez jego ciało przechodzi przyjemny dreszcz zwycięstwa. Dokoła niego zaczęły rozbrzmiewać zwycięskie okrzyki jego zdumionych żołnierzy, którzy brodzili w wodzie z niedowierzaniem. Z wolna docierało do nich, że naprawdę odnieśli zwycięstwo. Choć mieli niewielkie szanse, przeżyli, zwyciężyli znacznie liczniejszy legion. Leifallowi jednak się udało. Duncan poczuł przypływ wdzięczności względem swych lojalnych żołnierzy, względem Leifalla, Anvina, a nade wszystko względem swego syna. Żaden z nich nie stchórzył, choć szanse na zwycięstwo były nikłe.

W oddali rozległ się hałas. Duncan spojrzał w stronę widnokręgu i ku swej nieopisanej uciechy ujrzał Leifalla i jego wojaków z Leptus – wśród nich Anvina i Aidana oraz biegnącego przy jego nodze Białego – powracających z Everfall, jadących ku nim, by się do nich przyłączyć. Za nimi podążała nieduża armia Leifalla, setki wojowników, których zwycięskie okrzyki niesły się aż tutaj.

Duncan przeniósł wzrok na powrót na północ i spostrzegł, że na horyzoncie ziemia pokrywa się czernią. Tam – może o jakiś dzień drogi od nich – znajdowała się pandezjańska armia, gromadziła się, gotowała, by pomścić ich porażkę. Duncan wiedział, że następnym razem przypuszczą atak nie tysiącem mężów, lecz setką tysięcy.

Wiedział, że nie zostało im wiele czasu. Raz dopisało mu szczęście, lecz nie mógłby przetrzymać ataku setek tysięcy żołnierzy, nawet gdyby użył każdej możliwej sztuczki. A wykorzystał już wszystkie. Potrzebna mu była nowa strategia, i to szybko.

Gdy jego ludzie zebrali się wokoło niego, Duncan powiódł spojrzeniem po ich zaciętych, ponurych obliczach i wiedział, że ci wielcy wojownicy oczekują, że ich poprowadzi. Wiedział, że decyzja, którą teraz podejmie, będzie miała wpływ nie tylko na niego samego, lecz także na tych wspaniałych mężów – a w istocie na cały Escalon. Przez wzgląd na nich powinien podjąć słuszną decyzję.

Duncan łamał sobie głowę, próbując znaleźć rozwiązanie, rozważając konsekwencje każdego z możliwych strategicznych posunięć. Każde z nich niesło ze sobą wielkie ryzyko i poważne konsekwencje, i były bardziej jeszcze ryzykowne niż to, co zrobił w kanionie.

– Panie dowódco? – rozległ się głos.

Obróciwszy się Duncan ujrzał poważną twarz Kavosa, który patrzył na niego z szacunkiem. Setki mężczyzn za jego plecami także wpatrywały się w niego. Czekali, aż wyda rozkaz. Dotarli z nim do granic swoich możliwości i wyszli z tego żywo. Ufali mu.

Duncan skinął głową, biorąc głęboki oddech.

– Jeśli zetrzemy się z Pandezjanami na otwartej ziemi – zaczął. – poniesiemy porażkę. Wciąż mają nad nami przewagę stu do jednego. Są także bardziej wypoczęci, lepiej uzbrojeni i wyekwipowani. Zginęlibyśmy wszyscy, nim słońce skryje się za widnokręgiem.

Duncan westchnął. Jego ludzie przysłuchiwali się uważnie każdemu jego słowu.

– Nie jesteśmy jednak w stanie uciekać – ciągnął dalej. – i nie powinniśmy tego robić. Trolle atakują, a smoki krążą po niebie. Nie zdążymy uciec i się skryć, by prowadzić wojnę partyzancką.



Poza tym ukrywanie się nie leży w naszym zwyczaju. Potrzebna nam śmiała, szybka i zdecydowana strategia, by pokonać najeźdźców i raz na zawsze wypędzić ich z naszych ziem.

Duncan zamilkł na długą chwilę, głowiąc się nad niemal niemożliwym zadaniem, które ich czekało. Słysząc było jedynie wycie wiatru hulającego na pustyni.

– Co proponujesz, Duncanie? – ponaglił go wreszcie Kavos.

Duncan spojrział ponownie na Kavosa, zaciskając dłoń na swej halabardzie i rozluźniając ją, wpatrując się w niego uważnie. Jego słowa dźwięczały mu w głowie. Winien był tym wielkim wojownikom strategię. Sposób nie tylko na to, by przeżyć – lecz by zwyciężyć.

Duncan zamyślił się nad ukształtowaniem terenu w Escalonie. Wiedział, że bitwy wygrywa się dzięki znajomości terenu i chyba jedynie w tym względzie miał przewagę nad wrogiem. Powiodł myślami po wszystkich miejscach w Escalonie, w których mogliby wykorzystać naturalne ukształtowanie ziem. W istocie, musiałoby to być wyjątkowe miejsce, miejsce, w którym kilka tysięcy mężów byłoby w stanie odeprzeć setki tysięcy. Niewiele było miejsc w Escalonie – gdzie indziej także było ich niewiele – które na to pozwalały.

Jednak gdy Duncan przywołał w myśli legendy i opowieści zasłyszane od ojca, a przed nim jego ojca, gdy pomyślał o wszystkich wielkich bitwach z dawnych czasów, o których pobierał nauki, spostrzegł, że myśli jego wędrują ku bitwom najbardziej bohaterskim, najbardziej spektakularnym, w których niewielu stawiało czoła znacznie liczniejszemu przeciwnikowi. Raz za razem uwaga jego powracała w jedno miejsce: Diabelski Jar.

Było to miejsce bohaterów. Miejsce, w którym kilku mężów odparło armię, w którym próbie zostali poddani wszyscy wielcy wojownicy Escalonu. W Jarze znajdowała się najwyższa przełęcz w całym Escalonie i było to być może jedyne miejsce na tych ziemiach, w którym to ukształtowanie terenu decydowało o wyniku bitwy. Strome klify i góry stykały się z morzem, a na drugą stronę przejść można było jedynie wąskim przesmykiem. Był to jar, który odebrał niejedno życie. Ludzie musieli przechodzić jeden za drugim. Armie musiały przechodzić żołnierz za żołnierzem. Było to przewężenie, w którym kilku wojowników – jeśli byli dobrze rozmieszczeni i wystarczająco heroiczni – mogło odeprzeć całą armię. Tak przynajmniej głosiły legendy.

– Jar – odrzekł w końcu Duncan.

Wszyscy otworzyli szeroko oczy. Powoli zaczęli kiwać głowami z szacunkiem. Była to poważna decyzja; ostatnia deska ratunku. To miejsce wybierano, gdy nie było już dokąd się udać, w nim ludzie tracili życie lub je ratowali, utracali lub ocalali ziemie. Było to legendarne miejsce. Miejsce bohaterów.

– Jar – powiedział Kavos, kiwając długo głową i przesuwając dłonią po brodzie. – Odważna decyzja. Pozostaje jednak jeden problem.

Duncan spojrział na niego.

– Jar ma zatrzymać najeźdźców na zewnątrz, nie wewnątrz – odparł. – Pandezjanie już są wewnątrz. Moglibyśmy zagrozić wyjście z Jaru i zatrzymać ich wewnątrz. Ale chcemy się ich stąd pozbyć.

– Ani razu za czasów naszych przodków – dodał Bramthos. – armia najeźdźcy nie została zmuszona, by przekroczyć Jar, gdy już raz przez niego przeszła. Jest już za późno. Już przez niego przeszli.

Duncan skinął głową, myśląc o tym samym.

– Mnie także przeszło to przez myśl – odrzekł. – Jednak zawsze znajdzie się jakiś sposób. Być może uda nam się zwabić ich z powrotem przez Jar na drugą stronę. A gdy znajdą się na południu, zagroźmy im drogę i staniemy do walki.

Mężczyźni wpatrywali się w niego, wyraźnie skołowani.

– A jak według ciebie mamy tego dokonać? – zapytał Kavos.

Duncan dobył miecza, znalazł suchy skrawek ziemi, podszedł i zaczął rysować. Mężczyźni zebrali się blisko niego. Ostrze jego broni przesunęło się po piasku.

– Kilku z nas zwabi ich na drugą stronę – powiedział, kreśląc linię na ziemi. – Reszta będzie czekać po drugiej stronie, gotowa, by zagrozić drogę. Sprawimy, iż Pandezjanie pomyślą, że nas gonią, że uciekamy. Moi ludzie, gdy już zawrócą, mogą zatoczyć koło z powrotem przez tunele, powrócić na tę stronę Jaru i zagrozić przejście. Wtedy wszyscy będziemy mogli stanąć do boju.

Kavos pokręcił głową.

– A czemu sądzisz, że Ra pošle swą armię przez Jar?

Duncan był zdeterminowany.

– Rozumiem Ra – odparł. – Pragnie naszego zniszczenia. Pragnie całkowitego zwycięstwa. Spodoba mu się to, gdyż cechuje go pycha, dlatego pošle za nami całą swą armię.

Kavos pokręcił głową.

– Ci, którzy zwabią ich na drugą stronę – powiedział. – zostaną narażeni na atak. Powrót przez tunele będzie niemalże niemożliwy. Ci mężczyźni najpewniej zostaną uwięzieni i zginą.

Duncan skinął ponuro głową.

– Dlatego też sam ich poprowadzę – rzekł.

Wszyscy spojrzeli na niego z szacunkiem. Potarli brody. Na ich twarzach malowały się niepokoje i zwątpienie, wyraźnie widzieli, jakie ryzyko niesie ze sobą ten plan.

– Może i się uda – powiedział Kavos. – Może zdołamy zwabić siły pandezjańskie przez Jar i zagrozić im drogę. Nawet jeśli tak się stanie, Ra nie wyśle wszystkich swych ludzi. Tutaj stacjonują jedynie jego południowe wojska. Inne oddziały rozsiane są po całym kraju. Dysponuje potężną północną armią, która strzeże północy. Nawet jeśli zwyciężymy w tej wielkiej bitwie, nie zwyciężymy w wojnie. Escalon wciąż będzie we władaniu jego ludzi.

Duncan skinął głową, rozmyślając o tym samym.

– Dlatego też rozdzielimy nasze siły – odrzekł. – Połowa wyruszy ku Jarowi, a druga połowa na północ i zaatakuje północną armię Ra. Ty ich poprowadzisz.

Kavos spojrział na niego z zaskoczeniem.

– Jeśli mamy oswobodzić Escalon, musimy działać w tym samym czasie – dodał Duncan. – Ty poprowadzisz bitwę na północy. Poprowadź ich na swe ziemie, do Kos. Niech walki przeniosą się w góry. Nikt nie walczy tam tak dobrze jak wy.

Kavos skinął głową, wyraźnie zadowolony z tego pomysłu.

– A ty, Duncanie? – spytał z troską w głosie. – Choć moje szanse na północy są znikome, twoje w Jarze są jeszcze mniejsze.

Duncan skinął głową i uśmiechnął się. Zaciśnął dłoń na przedramieniu Kavosa.

– Będą zatem większe na zdobycie chwały – odparł.

Kavos uśmiechnął się z podziwem.

– A co z pandezjańską flotą? – wtrącił Seavig, dając krok do przodu. – Już teraz port w Ur jest w ich rękach. Escalon nie będzie wolny, póki mają władzę nad morzem.

Duncan skinął swemu druhowi głową, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Dlatego zbierzesz swych ludzi i wyruszysz ku wybrzeżu – odrzekł Duncan. – Zbierz swą ukrytą flotę i popłynij na północ, nocą, przez Morze Smutku. Popłynij do Ur. Jeśli będziesz wystarczająco przebiegły, być może uda ci się ich pokonać.

Seavig wpatrywał się w Duncana, pocierając brodę, a w jego szelmowskim spojrzeniu błysnęła odwaga.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że będziemy mieli tuzin okrętów naprzeciw tysiąca – powiedział.

Duncan skinął głową, a Seavig uśmiechnął się.

– Wiedziałem, że nie bez powodu pałam do ciebie sympatią – rzekł Seavig.

Seavig dosiadł swego konia, a jego ludzie poszli w jego ślady. Bez słowa ruszył z kopyta, prowadząc ich w pustynię, kierując się na zachód, ku morzu.

Kavos dał krok naprzód, zaciśnął dłoń na przedramieniu Duncana i spojrział mu w oczy.

– Zawsze wiedziałem, że obaj zginiemy za Escalon – powiedział. – Nie wiedziałem jedynie, że zginiemy w tak chwalebny sposób. Będzie to śmierć godna naszych przodków. Dziękuję ci za to, Duncanie. Obdarzyłeś nas wielkim darem.

– A ja dziękuję wam – odrzekł Duncan.

Kavos obrócił się, skinął ku swym ludziom. Bez słowa dosiedli swych koni i wyruszyli na północ, do Kos. Odjeżdżali, rzucając entuzjastyczne okrzyki i wzniecając wielkie tumany kurzu.

Duncan pozostał sam z kilkoma setkami mężczyzn, którzy czekali na jego rozkaz. Odwrócił się w ich stronę.

– Leifall się zbliża – powiedział, patrząc jak zbliżają się na widnokręgu. – Gdy tu dotrą, wyruszymy wszyscy jak jeden mąż ku Jarowi.

Duncan ruszył, by dosiąść swego wierzchowca, gdy nagle powietrze przeciął jakiś głos:

– Panie dowódco!

Duncan zwrócił się w przeciwnym kierunku i zaszokowało go to, co ujrzał. Ze wschodu nadchodziła samotna postać, zmierzając ku nim przez pustynię. Duncanowi serce zabiło jak oszalałe, gdy się jej przyjrzał. To niemożliwe.

Jego ludzie rozstąpili się na boki, gdy się zbliżyła. Serce Duncana zatrzymało się na chwilę i poczuł, jak z wolna oczy zachodzą mu łzami. Nie mógł w to uwierzyć. Niczym widmo na pustyni zbliżała się ku niemu jego córka.

Kyra.

Kyra szła ku nim sama z uśmiechem na twarzy, kierując się prosto w jego stronę. Duncan był skołowany. Jak tu dotarła? Co tu robi? Dlaczego jest sama? Czy przeszła taki kawał drogi? Gdzie jest Andor? A jej smok?

To nie miało najmniejszego sensu.

Lecz była to ona we własnej osobie, jego córka powracała do niego. Jej widok przywrócił spokój jego duszy. Wszystko było znowu takie, jak powinno, nawet jeśli tylko na chwilę.

– Kyra – powiedział, z przejęciem wychodząc naprzód.

Żołnierze rozstąpili się na boki, a Duncan szedł naprzód z uśmiechem, wyciągając ręce przed siebie, pragnąc ją objąć. Ona także się uśmiechała, wyciągając ręce przed siebie i idąc w jego kierunku. Całe jego życie nabrało sensu, gdy ujrzał, że żyje.

Duncan pokonał kilka ostatnich kroków, niezwykle podekscytowany, że może ją objąć. Gdy podeszła do niego i objęła go, otoczył ją ramionami.

– Kyra – wyrzucił z siebie drżącym głosem. – Żyjesz. Powróciłaś do mnie.

Czuł, jak po policzkach spływają mu łzy, łzy radości i ulgi.

Jednak – co dziwne – ona stała nieruchomo i milczała.

Z wolna Duncan zaczął pojmować, że coś jest nie w porządku. Na ułamek sekundy przed tym, jak się domyślił, poczuł przeraźliwy ból.

Jęknął, nie mogąc złapać oddechu. Łzy radości przeistoczyły się w łzy bólu, gdyż nie był w stanie oddychać. Nie pojmował, co się dzieje; zamiast czułego uścisku poczuł zimno stalowego ostrza wchodzące pomiędzy jego żebra, wypychane aż po rękę. Poczuł ciepło w brzuchu, poczuł, że drętwieje, że nie może oddychać, myśleć. Ból paraliżował go, palił, był tak niespodziewany. Mężczyzna opuścił wzrok i ujrzał w swym sercu sztylet. Stał bez ruchu, zaszokowany.

Podniósł wzrok na Kyre, spojrzał jej w oczy i choć ból był ogromny, jej zdrada zabolowała bardziej. Nie przeszkadzało mu to, że umrze. Lecz to, że umrze z ręki swej córki, rozdzierało go na strzępy.

Gdy poczuł, że świat dokoła niego zaczyna wirować, zamrugał, skołowany, usiłując zrozumieć, dlaczego osoba, którą kochał najbardziej na świecie, zdradziła go.

Kyra jednak tylko uśmiechnęła się, nie okazując skruchy.

– Witaj, ojciec – powiedziała. – Jakże miło jest znowu cię zobaczyć.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Oszołomiony Alec stał w paszczy smoka, trzymając w drżących dłoniach Niedokończony Miecz, a smocza krew broczyła na niego jak wodospad. Wyjrzał zza rzędów ostrych jak brzytwa zębisk, równie dużych jak on sam, i skulił się, gdy smok spadał jak kamień w dół, ku oceanowi. Zbliżali się do lodowatych wód Zatoki Śmierci i chłopak czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Wiedział, że jeśli nie zabije go siła uderzenia, zostanie zmiażdżony cielskiem martwego gada.

Alec, nadal w szoku że zdołał uśmiercić tę wielką bestię, wiedział, że ciężar smoka i prędkość, z jaką spadał, sprawią, że opadnie na samo dno Zatoki Śmierci i pociągnie go ze sobą. Niedokończony Miecz mógł uśmiercić smoka – lecz żaden miecz nie zdołał go zatrzymać. Co gorsza, rozluźniające się szczęki stwora zamykały się, tworząc potrzask, z którego Alec nigdy nie zdoła uciec. Wiedział, że musi poruszać się szybko, jeśli ma mieć jakiekolwiek szanse na przeżycie.

Krew ze smoczego podniebienia lała się na jego głowę, a Alec wyciągnął miecz i – gdy szczęki niemal już się zwały – zebrał się w sobie i skoczył. Wrzeszczał, spadając w lodowatym powietrzu. Ostre jak brzytwa zębiska smoka drasnęły go po plecach, rozcinając skórę i gdy jego koszula na chwilę zahaczyła się o smoczy ząb, Alec pomyślał, że mu się nie uda. Za sobą usłyszał, jak wielkie szczęki zamykają się, poczuł, jak jego koszula rozdziera się i jej kawałek odrywa – i wreszcie spadał swobodnie.

Alec młócił rękoma i nogami w powietrzu, gotując się do upadku w czarną, spienioną wodę w dole.

Nagle rozległ się plusk. Alec był w szoku, gdy wpadł w lodowate wody, od niskiej temperatury zaparło mu dech w piersi. Ostatnim, co ujrzał, gdy podniósł wzrok, było cielsko martwego smoka, spadające nieopodal niego, mające właśnie wpaść w zatokę.

Cielsko smoka głośno uderzyło w powierzchnię, wznecając na wszystkie strony wielkie fale. Na szczęście ominęło Aleca o włos, a fala wzniosła się i oddaliła od ciała. Poniosła Aleca w górę na dobre dwadzieścia stóp, nim się zatrzymała – i, ku przerażeniu Aleca, wszystko zaczął wciągać ogromny wir.

Alec płynął w przeciwnym kierunku ze wszystkich sił, lecz nie udawało mu się to. Choć starał się jak mógł, ani się obejrzał, a wielki wir wciągał go pod powierzchnię.

Alec płynął z całych sił, nadal ściskając w dłoni miecz. Był już dobre dwadzieścia stóp pod wodą, kopiąc i opadając w lodowatych wodach. Rozpaczliwie uderzał nogami, próbując wypłynąć na powierzchnię. Promienie słońca igrały na powierzchni wody i Alec spostrzegł, że w jego stronę płyną ogromne rekiny. Zauważył właśnie kadłub okrętu kołyszącego się wysoko na powierzchni wody i wiedział, że pozostało mu jedynie kilka chwil na przeżycie.

Chłopak kopnął ostatni raz i wynurzył się wreszcie na powierzchnię, chwytając łapczywie powietrze; po chwili poczuł, jak chwytają go czyjeś silne ręce. Podniósł wzrok i zobaczył, że Sovos wciąga go na pokład okrętu i sekundę później był w powietrzu, wciąż ściskając w dłoni miecz.

Kątem oka spostrzegł jednak jakiś ruch i gdy się odwrócił ujrzał, że z wody wyskakuje ogromny czerwony rekin, zamierzający się na jego nogę. Nie było czasu do stracenia.

Alec poczuł, że miecz drży w jego dłoni, podpowiadając mu, co ma robić. Nigdy wcześniej nie czuł niczego podobnego. Zamachnął się i wrzasnął, opuszczając broń z całych sił obojgiem rąk.

Rozległ się odgłos stali przecinającej ciało i Alec przyglądał się w szoku, jak Niedokończony Miecz przecina ogromnego rekina wpół. W czerwonej wodzie zaroilo się natychmiast od rekinów pożerających mięso.

Kolejny rekin rzucił się na jego stopy, jednak tym razem Alec poczuł, że ktoś podnosi go wysoko i upadł z hukiem na pokład.

Przetoczył się i jęknął, cały obolały i posiniaczony, i odetchnął ciężko z ulgą, wyczerpany, ociekając wodą. Ktoś natychmiast okrył go pledem.

– Jak gdyby zabicie smoka nie wystarczyło – rzekł Sovos z uśmiechem, stając nad nim i podając mu bukłak wina. Alec pociągnął duży łyk, aż poczuł ciepło w brzuchu.

Wśród żołnierzy na okręcie panowały chaos i podniecenie. Aleca to nie zdziwiło: wszak nieczęsto smok padał od miecza. Obejrzał się i pośród ciżby na pokładzie ujrzał Merka i Lornę, którzy musieli zostać wyciągnięci z wody wcześniej. Merk wyglądał mu na łachudrę, być może na najemnego zabójcę, a Lorna była olśniewająca, było w niej coś eterycznego. Oboje ociekali wodą i wyglądali na oszołomionych i szczęśliwych, że udało im się przeżyć.

Alec spostrzegł, że żołnierze wpatrują się w niego niby rażeni piorunem. Podniósł się z wolna, w szoku, gdy zorientował się, co właśnie uczynił. Mężczyźni przenosili wzrok z miecza, ociekającego wodą w jego dłoni, na niego, jak gdyby był jakimś bogiem. On także spojrział na miecz, czując jak ciąży mu w dłoni, niby coś żywego. Utkwił spojrzenie w tajemniczym, błyszczącym metalu, jak gdyby był to obcy mu przedmiot i przywołał w pamięci chwilę, gdy dźgnął smoka i swój szok, gdy przeciął nim jego ciało. Nie mógł się nadziwić mocy tego oręża.

Bardziej nurtowało go jednak pytanie, kim *on sam* jest. Jakim cudem on, prosty chłopak ze zwykłej wioski, zdołał uśmiercić smoka? Co też krył dla niego los? Zaczynał przeczuwać, że jego los nie miał być zwyczajny.

Alec usłyszał kłapanie tysiąca szczęk, a gdy wyrzwał za burzę, ujrzał ławicę czerwonych rekinów pożerających ogromne cielsko smoka, które unosiło się na powierzchni wody. Czarne wody Zatoki Śmierci przybrały teraz barwę krwistej czerwieni. Alec patrzył na unoszące się cielsko i dotarło do niego, że naprawdę to zrobił. Jakimś cudem zdołał zabić smoka. On, w pojedynkę, spośród wszystkich mieszkańców Escalonu.

W powietrzu poniosły się głośnie ryki i gdy Alec podniósł głowę, ujrzał tuziny smoków kołujących w oddali, plujących strumieniami płomieni, żadnych zemsty. Choć wszystkie patrzyły na niego, niektóre zdawały się lękać do niego zbliżyć. Kilka odłączyło się od stada, gdy spostrzegły jednego ze swoich unoszącego się martwego na wodzie.

Pozostałe jednak piszczwały rozwścieczone i zanurkowały prosto na niego.

Patrząc jak rzucają się w dół, Alec nie zwlekał. Ruszył ku rufie, wskoczył na reling i zwrócił się ku nim. Poczuł, jak przepływa przez niego moc miecza, dodając mu odwagi, i gdy stał tak, poczuł nową, żelazną determinację. Miał wrażenie, że miecz go prowadzi. On i oręż byli teraz jednością.

Stado smoków rzuciło się prosto na niego. Przewodził im ogromny gad o rozjarzonych zielonych ślepiach, który ryczał, plując przy tym ogniem. Alec trzymał miecz uniesiony wysoko i czuł, jak drży mu w dłoni, dodając odwagi. Wiedział, że ważą się losy Escalonu.

Chłopak poczuł przypływ odwagi, jakiej wcześniej nie znał i wydał okrzyk bitewny; wtedy miecz rozjarzył się. Promień intensywnego światła wystrzelił w górę, zatrzymując ścianę ognia w pół drogi na niebie. Nie ustawał tak długo, aż płomienie zmieniły kierunek, a gdy Alec ponownie ciął mieczem, smok zawył i zaczął się miotać, po czym runął prosto w dół i wpadł do wody.

Kolejny smok rzucił się w dół i Alec ponownie uniósł miecz, zatrzymując ścianę ognia i zabijając stwora. Inny smok obniżył lot i opuścił szpony, jak gdyby chciał pochwycić Aleca. Ten odwrócił się i ciął, i ku swemu zdumieniu ujrzał, że miecz odrąbał stworowi łapy. Smok zawył, a Alec w tym samym ruchu zamachnął się znów i ugodził go w bok, zadając mu głęboką ranę. Smok wpadł do oceanu i gdy miotał się w wodzie, nie potrafiąc się wznieść, został napadnięty przez rekiny.

Inny smok – nieduży, czerwony – zanurkował z drugiej strony z otwartymi szeroko szczękami – tym razem Alec pozwolił, by poprowadził go jego instynkt, i skoczył w górę. Miecz zapewnił mu moc i chłopak skoczył wyżej, niż byłby w stanie sobie wyobrazić, nad łbem smoka, i wylądował na jego grzbiecie.

Smok pisnął i szarpnął się, lecz Alec trzymał się mocno. Bestia nie zdołała go zrzucić.

Alec poczuł, że jest silniejszy od smoka, że jest w stanie nim kierować.

– Smoku! – zawołał. – Rozkazuję ci! Atakuj!

Smok nie miał wyboru. Odwrócił się i skierował ku górze, prosto w stado spadających smoków. Tuzin gadów leciał w dół. Alec zwrócił się ku nim bez cienia lęku, wzleciał ku górze, by się z nimi zetrzeć. Gdy starli się w powietrzu, Alec ciął mieczem raz za razem z siłą i prędkością, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy. Oderżnął skrzydło jednemu ze smoków, podciął gardło innemu, po czym dźgnął jeszcze innego w bok szyi, okręcił się i odciął ogon kolejnego. Jeden za drugim smoki spadały jak kamienie i z głośnym pluskiem wpadały do wody, tworząc wir w zatoce.

Alec nie ustępował. Raz po raz atakował stado, przecinając niebo, nie cofając się ani razu. Walczył zapamiętane i niemal nie zauważył, gdy kilka pozostałych jeszcze smoków odwróciło się wreszcie z piskiem i odleciało, przestraszone.

Alec nie mógł w to uwierzyć. Smoki. *Przestraszone.*

Chłopak spojrzał w dół. Spostrzegł, jak wysoko się znajduje, ujrzał Zatokę Śmierci rozciągającą się w dole, setki okrętów, z których większość stała w płomieniach, i tysiące unoszących się na wodzie martwych trolli. Także Wyspę Knossos ogarnęła pożoga, a jej fort runął. Panował tam wielki chaos i zniszczenie.

Alec spostrzegł ich flotę i pokierował smoka niżej. Gdy się zbliżyli, chłopak uniósł miecz i zatopił go w grzbiecie smoka. Stwór pisnął i runął w dół, a gdy zbliżyli się do wody, Alec skoczył i wpadł do wody obok okrętu.

Natychmiast wyrzucono liny i wciągnięto Aleca na pokład.

Gdy znalazł się na okręcie, nie drżał już. Nie było mu już zimno, nie był też zmęczony, słaby ani przestraszony. Czuł za to moc, jakiej wcześniej nie znał. Przepełniały go odwaga i siła. Miał wrażenie, że narodził się na nowo.

Zabił stado smoków.

I nic w całym Escalonie nie mogło go teraz zatrzymać.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wezuwiusz, zbudzony ostrymi szczypcami, które przesuwają się po zewnętrznej stronie jego dłoni, z trudem uniósł jedną powiekę, a drugą wciąż miał zamkniętą. Podniósł wzrok, zdezorientowany, i spostrzegł, że leży twarzą w piasku. Fale oceanu rozbijały się za nim, a lodowata woda obmywała tył jego nóg. Przypomniawszy sobie wszystko. Po tej wielkiej bitwie wyrzuciło go na wybrzeże Zatoki Śmierci; zastanawiał się, jak długo leżał tak bez przytomności. Poziom wody z wolna podnosił się, gotując się, by go zabrać, jeśli się nie przebudzi. Jednak to nie chłód wody go zbudził – a stwór na jego dłoni.

Wezuwiusz spojrzał w bok, na swą wyciągniętą na piasku rękę, i ujrzał sporych rozmiarów fioletowego kraba, który wbijał szczypce w jego dłoń i wydierał z niej nieduże kawałki ciała. Nie spieszył się, jak gdyby Wezuwiusz był trupem. Przy każdym jego ruchu Wezuwiusz czuł falę bólu.

Wezuwiusza nie zdziwiło zachowanie stwora; rozejrzał się i zobaczył na całej plaży tysiące ciał, pozostałości po jego armii trolli. Leżały, pokryte fioletowymi krabami. Odgłosy uderzeń ich szczypców niesły się w powietrzu. Od odoru rozkładających się trollich ciał zemdliło go, aż prawie zwymiotował. Krab na jego dłoni był pierwszym, który odważył się zawędrować aż do Wezuwiusza. Inne najpewniej wyczuły, że dalej żyje i cierpliwie czekały. Jednak ten jeden odważny krab podjął ryzyko. Teraz już tuziny stworów zwracały się w jego kierunku, niepewnie idąc w ślady pierwszego kraba. Wezuwiusz wiedział, że w ciągu kilku chwil przykryje go i pożre żywcem ta niewielka armia – o ile wcześniej nie zabiorą go lodowate wody Zatoki Śmierci.

Wezuwiusz poczuł silny przypływ wściekłości. Wyciągnął wolną rękę, chwycił fioletowego kraba i powoli zacisnął dłoń. Krab próbował mu się wymknąć – ale Wezuwiusz mu na to nie pozwolił. Stwór wierzgał odnóżami i próbował schwycić Wezuwiusza szczypcami, lecz ten trzymał go mocno, nie pozwalając mu się obrócić. Ścisnął coraz mocniej, powoli, nie spieszył się, czerpiąc ogromną przyjemność z zadawania bólu. Stwór piszczał, wydając okropny, wysoki dźwięk, gdy Wezuwiusz powoli zaciskał dłoń w pięść.

Wreszcie pęknął. Wezuwiusz usłyszał satysfakcjonujący szczęk skorupy, a fioletowa krew pociekła po jego dłoni. Upuścił rozgniecionego na miazgę stwora.

Wezuwiusz podźwignął się nieco chwiejnie na jedno kolano, a wtedy tuziny krabów rozpięchły się, wyraźnie zaszokowane widokiem podnoszącego się trupa. Jeden za drugim zaczęły się odwracać i gdy wstał, tysiące krabów rozbiegły się. Plaża opustoszała, gdy Wezuwiusz stawiał pierwsze kroki na brzegu. Szedł przez cmentarzysko i z wolna wszystko mu się przypominało.

Bitwa na Knossos. Zwyciężał, miał właśnie zabić Lornę i Merka, gdy zjawiły się te smoki. Przypomniawszy sobie upadek z wyspy; utratę armii; przypomniał sobie, jak jego flota stanęła w płomieniach; i wreszcie jak nieomal się utopił. Był to pogrom i Wezuwiusz płonął ze wstydu na samą myśl o nim. Odwrócił się i spojrzał na zatokę, miejsce swej porażki, i spostrzegł w oddali wciąż płonąca wyspę Knossos. Zobaczył pozostałości swej floty, unoszące się na wodzie, rozbite na kawałki. Niektóre okręty wciąż płonęły. I wtedy usłyszał pisk wysoko w górze. Podniósł głowę i zamrugnął.

Wezuwiusz nie pojmował tego, co ujrzał przed sobą. To niemożliwe. Smoki spadały z nieba i nieruchome wpadały jak kamień do zatoki.

Martwe.

Wysoko w górze dostrzegł jakiegoś człowieka na jednym z tych gadów. Toczył walkę z nimi wszystkimi, trzymając się kurczowo smoczego grzbietu i dzierżąc w dłoni miecz. Reszta stada w końcu odwróciła się i uciekła.

Spojrzał na powrót w stronę wody i na widnokręgu ujrzał tuziny okrętów pod banderą Zaginionych Wysp. Widział, jak mężczyzna zeskakuje z ostatniego smoka i płynie w ich stronę. Spostrzegł dziewczynę, Lornę, i najemnika, Merka, i świadomość, że przeżyli, rozwścieczyła go.



Wezuwiusz spojrział znów na brzeg i przyglądając się swym martwym poddanym, zjedzonym przez kraby albo zabranym przez wodę i pożartym przez rekiny, czuł się samotny jak nigdy wcześniej. Ze zdumieniem spostrzegł, że przeżył jako jedyny z armii, którą prowadził.

Wezuwiusz obrócił się i skierował wzrok ku północy, ku kontynentalnemu Escalonowi. Wiedział, że gdzieś tam daleko na północy Płomienie opadły. W tej właśnie chwili jego wojska opuszczały Mardę i najeżdżały Escalon, miliony trolli zmierzały na południe. Wezuwiuszowi udało się wszak dotrzeć do Wieży Kos i zniszczyć Miecz Ognia. Jego armia z pewnością przeszła już granicę i rozdzierała Escalon na strzępy. Potrzebowali kogoś, kto ich poprowadzi. Potrzebowali jego.

Wezuwiusz może i przegrał tę bitwę – lecz musiał pamiętać, że wygrał wojnę. Chwila jego największej chwały, chwila, na którą czekał całe swe życie, jeszcze nie nadeszła. Nastał czas, by chwycił za ster, by poprowadził swych ludzi ku ostatecznemu zwycięstwu.

*Tak*, pomyślał, prostując się, lekceważąc ból, rany i przejmujący chłód. Dostał to, po co przyszedł. Niech dziewczyna i jej ludzie błakają się po oceanie. Jego czekało wszak zniszczenie Escalonu. Zawsze mógł powrócić i zabić ją później. Uśmiechnął się na tę myśl. Tak, zabije ją. Rozerwie ją na strzępy.

Wezuwiusz ruszył truchtem, po czym przyspieszył. Skieruje się na północ. Dołączy do swych poddanych. I poprowadzi ich ku największej bitwie wszech czasów.

Nadszedł czas, by raz na zawsze zniszczyć Escalon.

Wkrótce Escalon i Marda będą jednym.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Kyle przypatrywał się z zadziwieniem, jak szczelina w ziemi rozszerza się, a tysiące trolli spadają głęboko w otchłań, młócąc wokoło rękoma, i tracą życie. Nieopodal stał Alva z uniesioną laską, od której biły promienie intensywnego światła, tak jasne, że Kyle musiał osłonić oczy dłonią. Unicestwiał armię trolli, w pojedynkę chroniąc północ. Kyle walczył do utraty sił, podobnie jak Kolva u jego boku, i choć położyli tuziny trolli w zacieklej walce wręcz, nim zostali ranni, ich siły były ograniczone. Jedynie Alva powstrzymywał trolle przed opanowaniem Escalonu.

Trolle szybko zorientowały się, że zginą w szczelinie i zatrzymały się po drugiej stronie, pięćdziesiąt stóp przed nią, zdając sobie sprawę, że nie mogą posunąć się dalej. Spojrzały na Alvę, Kolwę, Kyle'a, Dierdre i Marco, a w oczach ich rozgorzała frustracja. Gdy szczelina powiększała się dalej w ich kierunku, odwróciły się z paniką w oczach i uciekły.

Niebawem głośnie dudnienie oddaliło się i wokoło zapadła cisza. Fala trolli ustała. Czy uciekały z powrotem do Mardy? Przegrupowywały się, by najechać inną część kraju? Kyle nie miał pewności.

Gdy wszystko wokoło ucichło, Kyle leżał na ziemi, cierpiąc od poniesionych ran. Patrzył, jak Alva powoli opuszcza swą laskę i światło wokoło niego przygasa. Wtedy Alva zwrócił się ku niemu, wyciągnął dłoń i położył ją na jego czole. Kyle poczuł, jak fala światła wdzierą się do jego ciała, poczuł, jak robi mu się cieplej, jak się rozjaśnia, a po chwili poczuł, że jest całkowicie zdrow. Usiadł, zaszokowany, czując się znów sobą – i pełen wdzięczności.

Alva przyklęknął przy Kolwie, położył dłoń na jego brzuchu i jego także uleczył. Po chwili Kolva podniósł się, wyraźnie zaskoczony tym, że stanął znów na nogi, z błyszczącym spojrzeniem. Później przyszła kolej na Dierdre i Marco. Alva położył na nich dłonie i ich także uzdrowił. Sięgnął laską i dotknął także Leo i Andora, którzy podnieśli się o własnych siłach. Magiczne moce Alvy uleczyły wszystkich, nim się wykrwawili.

Kyle stał zadziwiony, doświadczony na sobie mocy tej magicznej istoty, o której przez większość swego życia słyszał jedynie pogłoski. Wiedział, że znalazł się w obecności prawdziwego mistrza. Wyczuwał także, że jest to ulotna obecność; że jest to mistrz, który nie może tu pozostać.

– Udało ci się – powiedział Kyle, pełen podziwu i wdzięczności. – Powstrzymałeś cały naród trolli.

Alva pokręcił głową.

– Nic podobnego – odrzekł powoli i wyraźnie wyważonym, prądawnie brzmiącym głosem. – Jedynie je spowolniłem. Wielkie i straszliwe zniszczenie nadal zbliża się ku nam.

– Ale jak to? – upierał się Kyle. – Ta szczelina – nigdy jej nie przekroczą. Zabiłeś tak wiele tysięcy trolli. Czyż nie jesteśmy bezpieczni?

Alva pokręcił głową ze smutkiem.

– Nie widziałeś nawet ułamka tego narodu. Nadejdą ich miliony. Rozpoczęła się wielka bitwa. Bitwa, która zadecyduje o losach Escalonu.

Alva przeszedł po ruinach Wieży Ur, wspierając się na lasce, a Kyle przyglądał się mu, jak zawsze zaintrygowany tą zagadką. Wreszcie odwrócił się ku Dierdre i Marco.

– Pragniecie powrócić do Ur, czyż nie? – zapytał ich.

Dierdre i Marco skinęli głowami z nadzieją w oczach.

– Ruszajcie – rozkazał.

Popatrzyli na niego wyraźnie skołowani.

– Ale tam nic nie pozostało – powiedziała dziewczyna. – Miasto zostało zniszczone. Zniknęło pod wodą. Teraz rządzi nim Pandezjanie.

– Powrót do tego miejsca byłby oddaniem się w ręce śmierci – wtrącił Marco.

– Teraz, owszem – odparł Alva. – Niebawem jednak będziecie tam potrzebni, gdy rozpocznie się wielka bitwa.

Dierdre i Marco, nie potrzebując zachęty, odwrócili się, dosiedli razem Andora i ruszyli z kopyta w las, na południe, z powrotem do miasta Ur.

Leo pozostał u boku Kyle'a. Kyle pogłodził go po łbie.

– Myślisz o mnie i myślisz o Kyrze, co, mały? – spytał Kyle Leo.

Leo pisnął z czułością i Kyle wiedział, że wilk pozostanie u jego boku i będzie go strzegł, jak gdyby był Kyrą. Wyczuł, że ma w nim wspaniałego towarzysza walki.

Kyle spojrzał na Alwę pytająco, a Alva odwrócił się i utkwiał wzrok w lesie na północy.

– A my, mistrzu? – spytał Kyle. – Gdzie jesteśmy potrzebni?

– Tutaj – odrzekł Alva.

Kyle spojrzał w stronę widnokręgu, tak jak Alva patrząc na północ, w stronę Mardy.

– Nadchodzą – dodał. – A my trzech jesteśmy ostatnią nadzieją Escalonu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Kyrę ogarnęła fala paniki, gdy szarpała się w pajęczej sieci, wijąc się, rozpaczliwie próbując się uwolnić, a wielki stwór przesunął się powoli w jej stronę. Nie chciała na niego patrzeć, ale nie potrafiła się powstrzymać. Odwróciła się i ogarnęło ją przerażenie, gdy ujrzała ogromnego, syczącego pająka, który szedł w jej stronę, przesuwając jednym za drugim swymi masywnymi odnóżami. Wpatrywał się w nią wielkimi czerwonymi ślepiami, unosił długie, kosmate czarne nogi i rozwarł szeroko szczękę, obnażając żółte kły, z których kapła ślina. Kyra wiedziała, że pozostało jej jedynie kilka chwil życia – i że będzie to straszliwa śmierć.

Szarpiąc się, słyszała dokoła siebie stukot kości na sieci; rozejrzała się i zobaczyła pozostałości wszystkich ofiar, które zginęły tu przed nią i wiedziała, że jej szanse na przeżycie są znikome. Była uwięziona i niewiele mogła na to poradzić.

Kyra zamknęła oczy, wiedząc, że nie ma innego wyjścia. Nie mogła polegać na świetle zewnętrznym. Musiała wejrzeć w głąb siebie. Wiedziała, że odpowiedź nie kryje się w jej zewnętrznej sile, jej zewnętrznym orężu. Jeśli będzie polegać na zewnętrznym świetle, zginie.

Jej wewnętrzna moc jednak – jak wyczuwała – była rozległa, nieskończona. Musiała zaczerpnąć ze swej wewnętrznej siły, przyzwać moce, z którymi lękała się zmierzyć. Musiała wreszcie zrozumieć, co nią kierowało, pojąc efekt końcowy swego duchowego szkolenia.

*Energia. Tego uczył ją Alva. Kiedy polegamy na sobie, używamy jedynie ułamka naszej energii, ułamka naszego potencjału. Zaczerpnij z energii świata. Cały wszechświat pragnie ci pomóc.*

Krażyło to w jej żyłach, czuła to. Było to coś szczególnego, coś, z czym się urodziła, co przekazała jej matka. Była to moc, która krażyła we wszystkim, niczym rzeka płynąca pod ziemią. Była to ta sama moc, której zawsze trudno jej było zawierzyć. Była to najgłębsza część niej samej, część, której nie ufała jeszcze całkowicie. Była to ta część, której najbardziej się lękała, bardziej niż jakiegokolwiek wroga. Chciała przyzwać swą matkę, rozpaczliwie pragnęła jej pomocy. Wiedziała jednak, że nie dotrze do niej tutaj, w krainie Mardy. Mogła liczyć tylko na siebie. Być może to – bycie zupełnie samą, poleganie jedynie na sobie – było ostatnią częścią jej szkolenia.

Kyra zamknęła oczy, wiedząc, że robi to teraz albo nigdy. Wyczuła, że musi stać się silniejsza niż dotychczas była, niż świat, który widziała przed sobą. Zmusiła się, by skupić się na wewnętrznej energii, a następnie na energii dokoła siebie.

Powoli zaczęła ją wyczuwać. Wyczuła energię sieci, energię pająka; poczuła, jak przez nią przepływa. Z wolna pozwoliła, by stała się częścią niej. Nie sprzeciwiała się jej już. Zamiast tego pozwoliła, by stały się jednością.

Kyra poczuła, że jej ruchy stają się wolniejsze; poczuła, że czas zwalnia. Zaczęła wyczuwać najdrobniejsze szczegóły, słyszała wszystko, czuła wszystko dokoła siebie.

Nagle poczuła falę energii i wiedziała – po raz pierwszy – że cały wszechświat jest jednością. Czuła, jak dzielące wszystko ściany kruszą się, czuła, że bariera pomiędzy światem zewnętrznym a wewnętrznym zanika. Poczuła, że ten podział był nieprawdziwy.

Wtedy poczuła przypływ energii, jak gdyby ustąpiła w niej jakaś tama. Dłonie jej zapłonęły, jak gdyby stały w ogniu.

Kyra otworzyła oczy i zobaczyła pająka. Był już blisko i patrzył na nią, gotując się do skoku. Odwróciła się i kilka stóp dalej ujrzała swą laskę zatknietą w sieci. Wyciągnęła rękę, nie wątpiąc już w siebie. Przyzwała laskę, a broń przecięła powietrze prosto w jej wyciągniętą dłoń. Ścisnęła ją mocno.

Kyra użyła swej mocy, wiedząc, że jest silniejsza niż wszystko, co widzi przed sobą, i zawierzyła sobie. Uniosła rękę, w której trzymała laskę, a ta oderwała się od sieci.

Dziewczyna obróciła się raptownie i w chwili, gdy kły pająka zbliżały się do niej, wyciągnęła rękę i wetknęła laskę w jego paszczę.

Pająk wydał z siebie przeraźliwy pisk, a Kyra wepchnęła łaskę głęboko w jego paszczę i obróciła ją. Pająk próbował zamknąć szczęki, lecz nie mógł, łaska mu to uniemożliwiała.

Wtem jednak, ku zdumieniu Kyry, zamknął nagle paszczę i złamał pradawną łaskę na kawałki. Złamał to, co nie mogło zostać złamane, strzaskał w paszczy jak wykałaczkę. Ta bestia była potężniejsza, niż się spodziewała.

Pająk skoczył na nią, a wtedy czas zwolnił. Kyra poczuła, że wszystko zbiega się w jednym punkcie. W głębi duszy czuła, że potrafi się uwolnić, że może być szybsza niż ten stwór.

Kyra szarpnęła się w przód i uwolniła, i przetoczyła po sieci; gdy pająk opuścił kły, zamiast niej rozdarł sieć.

Gdy Kyra skupiła się, po raz pierwszy usłyszała niegłośnie buczenie w powietrzu, poczuła, że coś ją przyzywa. Odwróciła się i utkwiała spojrzenie w czymś, co znajdowało się po drugiej stronie sieci, po co wyprawiła się do Mardy: Berle Prawdy. Tkwiło zatknięte w bloku czarnego granitu. Było eteryczne, rozjarzone na tle nocnego nieba.

Kyra poczuła z nim natychmiastową więź, poczuła mrowienie w dłoniach i wyciągnęła prawą rękę. Wydała z siebie najgłośniejszy okrzyk bitewny w życiu i wiedziała – po prostu wiedziała – że berło usłucha jej.

Nagle Kyra poczuła, że ziemia pod jej nogami trzęsie się. Wiedziała, że dobywa oręza z samego jądra ziemi i przez jedną wspaniałą chwilę nie wątpiła już w siebie, swe moce ani we wszechświat.

Wtem rozległ się głośny hałas, odgłos kamienia trącego o kamień, i Kyra przyglądała się ze zdumieniem, jak berło z wolna unosi się, wysuwa z granitu. Uniosło się powoli, po czym przecięło powietrze i jego czarny, zdobiony klejnotami trzon znalazł się w prawej dłoni Kyry. Chwyciła go i poczuła, że żyje. Miała wrażenie, że chwyciła węża, że trzyma w dłoni żyjące stworzenie.

Bez chwili wahania Kyra obróciła się i opuściła berło dokładnie w chwili, gdy pająk zbliżył się do niej. Berło nagle przeobraziło się w miecz i rozcięło ogromną sieć na dwie części.

Pająk spadł na ziemię ogłuszony, piszcząc.

Kyra obróciła się raptownie i ponownie cięła sieć. Uwolniła się całkowicie i upadła na nogi. Trzymała berło obojgiem rąk wysoko nad głową, gdy bestia rzuciła się na nią. dzielnie stawiała jej czoła, dając krok naprzód i uderzając Berłem Prawdy z całych sił. Poczuła, że berło przechodzi przez grube ciało pająka. Stwór wydał z siebie okropny pisk, gdy Kyra przecinała go na pół.

Gęsta czarna krew trysnęła z jego ciała i pająk padł martwy u jej stóp.

Kyra stała, trzymając w drżących dłoniach berło, czując przyływ energii, jakiego nie czuła nigdy wcześniej. Poczuła, że zmieniała się w tej chwili. Poczuła, że stała się potężniejsza, że nigdy już nie będzie taka sama. Poczuła, że wszystkie drzwi otworzyły się i że wszystko jest możliwe.

Wysoko w niebiosach zagrzmiało i błyskawica przecięła niebo. Szkarłatna błyskawica przecięła chmury, rysując na nich linie, jak gdyby chmury ociekały lawą. Potem rozległ się przeraźliwie głośny ryk i ku swojej uciechu Kyra ujrzała, że z chmur wyłania się Theon. Wyczuła, że bariera opadła, gdy dobyła berła. Po raz pierwszy była pewna, że to jej przeznaczeniem jest wszystko zmienić.

Theon wylądował u jej stóp, a ona bez chwili wahania wspięła się na jego grzbiet i wzniesli się wysoko w górę. Grzmoty przetaczały się dokoła nich, gdy lecieli, kierując się na południe, z dala od Mardy, ku Escalonowi. Kyra wiedziała, że zapuściła się na najniebezpieczniejsze tereny i zwyciężyła, że przeszła swą ostateczną próbę.

A teraz, z Berłem Prawdy w dłoni, musiała stoczyć wojnę.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Odpywając w dal, Lorna patrzyła, jak wciąż płonąca wyspa Knossos znika na widnokręgu i serce jej pękło. Stała na dziobie okrętu, zaciskając dłonie na relingu. Merk stał u jej boku, a za nimi płynęła flota Zaginionych Wysp. Czuła, że oczy wszystkich zwrócone są na nią. Ta ukochana wyspa, dom Obserwatorów, dzielnych wojowników z Knossos, przestała istnieć. Stała w płomieniach, jej wielki fort został zniszczony, a wojownicy, którzy stali na straży przez tysiące lat byli teraz martwi, zabici przez falę trolli i dobici przez stado smoków.

Lorna wyczuła jakiś ruch i gdy się odwróciła, zobaczyła, że obok niej staje Alec, chłopiec, który zabił smoki, ten, dzięki któremu nad Zatoką Śmierci wreszcie zaległa cisza. Stanął obok niej. Wyglądał na równie oszołomionego co ona. Trzymał w dłoni miecz. Lorna poczuła przypływ wdzięczności względem niego i względem oręża, który trzymał w ręku. Opuściła na niego wzrok, na Niedokończony Miecz – piękną broń – i poczuła intensywną energię, która się z niego rozchodziła. Wróciła myślami do śmierci smoków i wiedziała, że chłopak trzymał w dłoniach los Escalonu.

Lorna radowała się, że żyje. Wiedziała, że ją i Merka czekałby niechybny koniec w Zatoce Śmierci, gdyby nie zjawili się ci wojownicy z Zaginionych Wysp. Zarazem nękało ją jednak poczucie winy przez wzgląd na tych, którzy nie przeżyli. Z bólem serca myślała o tym, że tego nie przewidziała. Przez całe swe życie przewidziała wszystko, wszystkie koleje losu w swym samotnym życiu, strzegąc Wieży Kos. Przewidziała nadejście trolli, przewidziała nadejście Merka, a nawet zniszczenie Miecza Ognia. Przewidziała wielką bitwę na wyspie Knossos – lecz nie przewidziała tego, jak się skończy. Nie przewidziała, że stanie w płomieniach, nie przewidziała tych smoków. Zwątpiła w swe własne moce i to dotknęło ją do żywego.

Jak to się mogło stać? – zastanawiała się. Jediną możliwością było to, że los Escalonu zmieniał się z chwili na chwilę. To, co było zapisane przez tysiące lat, zanikało. Wyczuła, że los Escalonu ważył się na szali, był nieuformowany.

Lorna wyczuła, że wszystkie oczy na okręcie skierowane są na nią. Wszyscy pragnęli dowiedzieć się, dokąd się udać i co szykował dla nich los, gdy oddalali się od płonącej wyspy. Pograżony w chaosie świat płonął i wszyscy szukali u niej odpowiedzi.

Lorna zamknęła oczy i z wolna poczuła, jak formuje się w niej odpowiedź, która wskazuje, gdzie są najbardziej potrzebni. Coś jednak osnuwało mrokiem jej wizję. Wtem przypomniała sobie Thurn.

Lorna otworzyła oczy i rozejrzała się po wodzie w dole, przypatrując się każdemu unoszącemu się ciału, które przepływało obok okrętu, odbijając się od kadłuba. Marynarze także wyteżali wzrok od wielu godzin, razem z nią przypatrując się twarzom, lecz nie znaleźli tego, którego szukali.

– Pani, czekamy na two rozkazy – ponaglił delikatnie Merk.

– Przeszukujemy wodę od wielu godzin – dodał Sovos. – Thurn nie żyje. Musimy się z tym pogodzić.

Lorna potrząsnęła głową.

– Czuję, że jest inaczej – zaprzeczyła.

– Bardziej niż ktokolwiek inny pragnę, by tak było – odparł Merk. – Zawdzięczam mu życie. Ocalił nas przed smoczym oddechem. Ale widzieliśmy, jak staje w płomieniach i skacze do morza.

– Ale nie widzieliśmy, jak umiera – odrzekła.

Sovos westchnął.

– Nawet jeśli jakimś cudem przeżył upadek, pani – dodał Sovos. – nie mógłby przetrwać w tych wodach. Musimy się z tym pogodzić. Nasza flota czeka na rozkazy.

– Nie – powiedziała stanowczo, z przekonaniem. Czuła, jak rodzi się w niej jakieś przecucie, jakby mrowienie pomiędzy oczyma. Podpowiadało jej, że Thurn nadal żyje, że jest gdzieś pośród szczątków, pośród tysięcy unoszących się na wodzie ciał.

Lorna przyglądała się uważnie wodzie, czekając z nadzieją, nasłuchując. Choć tyle była mu winna, a nigdy nie odwracała się od przyjaciela. Nad Zatoką Śmierci zawisła osobiwa cisza. Trolle poginęły, smoki zniknęły; jednak zatoka wciążniosła własne dźwięki, nieustające wycie wichru, rozbryzgiwanie się tysięcy spienionych fal, skrzypienie ich okrętu, nieustannie kołyszącego się na wodzie. Gdy tak nasłuchiwała, podmuchy wiatru przybrały na sile.

– Zbliży się sztorm, pani – rzekł wreszcie Sovos. – Musimy płynąć, a nie wiemy dokąd.

Wiedziała, że mają rację. A jednak nie potrafiła się z tym pogodzić.

W chwili gdy Sovos otworzył usta, by się odezwać, Lorna poczuła nagły dreszcz podniecenia. Pochyliła się i dojrzała na horyzoncie coś na wodzie. Prąd niośł to w stronę okrętu. Poczuła mrowienie w dołku i wiedziała, że to on.

– TAM! – wykrzyknęła.

Mężczyźni podbiegli do relingu i spojrzeli za burtę. Oni także to zobaczyli: Thurn unosił się na wodzie. Lorna nie traciła czasu. Dała dwa duże kroki, przeskoczyła przez burtę i zanurkowała głową w przód, spadając dwadzieścia stóp w powietrzu ku lodowatym wodom zatoki.

– Lorna! – zawołał za nią Merk z troską w głosie.

Lorna ujrzała czerwone rekiny kłębiące się w wodzie i zrozumiała jego niepokój. Zataczały koła wokół Thurna, lecz choć trącały go, spostrzegła, że nie były w stanie przebić zbroi. Zdała sobie sprawę, że Thurn miał szczęście, iż pozostał w zbroi, która go ocaliła – i jeszcze większe, że trzymał się deski, dzięki której utrzymywał się na powierzchni. Kłębiło się jednak koło niego coraz więcej rekinów, które stawały się coraz śmielsze i Lorna wiedziała, że nie pozostało mu już dużo czasu.

Wiedziała też, że rekiny podpłyną i do niej, lecz mimo tego nie zawahała się, nie kiedy jego życiu coś zagrażało. Choć tyle była mu winna.

Lorna wpadła do wody. Zaszokowała ją jej niska temperatura. Nie zatrzymując się nawet na chwilę, zaczęła kopać i płynąć pod powierzchnią, aż dotarła do Thurna, używając swej mocy, by znaleźć się przy nim szybciej niż rekiny. Otoczyła go rękoma, wyczuwając, że żyje, choć jest nieprzytomny. Rekiny płynęły w jej kierunku, a ona zebrała siły, gotowa zrobić wszystko, by pozostali przy życiu.

Nagle Lorna spostrzegła spadające obok niej liny. Schwyciła mocno jedną z nich i poczuła, jak ktoś szybko odciąga ją w tył i w górę, w powietrze. Pomoc przyszła w sam czas: czerwony rekin wyskoczył z wody i rzucił się na jej nogi, chybając o włos.

Trzymającą Thurna Lornę wciągano w górę przy podmuchach lodowatego wichru. Kołysała się mocno, uderzając o kadłub okrętu. Po chwili obaj zostali wciągnięci przez załogę, lecz nim znalazła się znów na pokładzie, Lorna spojrzała ostatni raz w dół i zobaczyła kłębiące się w dole rekiny, rozwścieczone utratą posiłku.

Kobieta upadła na pokład z głuchym hukiem, z Thurnem w ramionach. Natychmiast obróciła go i przyjrzała się mu bacznie. Pół jego twarzy było zeszpecone, strawione płomieniami, lecz przynajmniej przeżył. Oczy miał zamknięte. Nie były przynajmniej otwarte i zwrócone ku niebu; to dobry znak. Położyła dłonie na jego sercu i poczuła coś. Choć słabo, jego serce biło.

Lorna położyła dłonie na jego sercu, a wtedy poczuła przyływ energii, intensywne ciepło przepływające z jej dłoni w jego ciało. Przyzwalała swe moce i modliła się, by Thurn powrócił do życia.

Nagle mężczyzna otworzył oczy i usiadł, wciągając gwałtownie powietrze. Dyszał ciężko, wypływając wodę. Zakaszał, a pozostali mężczyźni podbiegli do niego i okryli go futrami, by się rozgrzał. Lorna nie posiadała się z radości. Patrzyła, jak rumieniec wraca na jego twarz i wiedziała, że będzie żył.

Nagle Lorna poczuła, jak ktoś otula jej plecy ciepłym futrem i obróciwszy się ujrzała stojącego nad nią Merka. Uśmiechnął się i pomógł jej wstać.

Mężczyźni szybko zebrali się wokół niej, patrząc na nią z jeszcze większym szacunkiem.

– A teraz? – spytał poważnie, stając obok niej. Musiał niemal krzyczeć, by było go słychać przez wiatr i skrzypienie ich rozkołysanego okrętu.



Lorna wiedziała, że nie pozostało im wiele czasu. Zamknęła oczy i wyciągnęła dłonie ku niebu. Z wolna wyczuła istotę wszechświata. Miecz Ognia został zniszczony, Knossos zniknęło, smoki uciekły, a Lorna musiała dowiedzieć się, w którym miejscu Escalon najbardziej ich potrzebował w tych trudnych chwilach.

Nagle poczuła obok siebie drżenie Niedokończonego Miecza i już wiedziała. Odwróciła się i spojrzała na Aleca, który patrzył na nią wyczekująco.

Poczuła, że poznaje, jak wyjątkowe jest jego przeznaczenie.

– Nie będziesz już podążał za smokami – powiedziała. – Te, które uciekły nie zbliżą się do ciebie – lękają się ciebie teraz. A jeśli będziesz ich szukał, nie znajdziesz ich. Wyruszyły toczyć boje w innej części Escalonu. Zadanie uśmiercenia ich należy teraz do kogoś innego.

– Co mam zatem zrobić, pani? – zapytał, wyraźnie zaskoczony.

Zamknęła oczy i poczuła, jak spływa na nią odpowiedź.

– Płomienie – odrzekła, czując, że to właściwa odpowiedź. – Muszą wznieść się ponownie. Tylko w ten sposób powstrzymamy Mardę przed zniszczeniem Escalonu. To ma teraz największe znaczenie.

Alec zdawał się zakłopotany.

– A co ja mam z tym wspólnego? – zapytał.

Spojrzała na niego.

– Niedokończony Miecz – odparła. – To ostatnia nadzieja. On – tylko on – może sprawić, że Ściana Ognia wznieśnie się ponownie. Musi powrócić do swego prawdziwego domu. Do tej chwili Escalon nie będzie bezpieczny.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– A gdzie leży jego dom? – zapytał, a mężczyźni zbliżyli się, by posłuchać.

– Na północy – powiedziała. – W Wieży Ur.

– Ur? – spytał skołowany Alec. – Czy wieża nie została już zniszczona?

Lorna skinęła głową.

– Wieża – owszem – odrzekła. – Lecz nie to, co leży pod nią.

Wzięła głęboki oddech, a wszyscy spojrzeli na nią jak zaczarowani.

– W wieży znajduje się ukryta komnata, głęboko pod ziemią. To nie wieża była ważna – była jedynie odwróceniem uwagi. Chodziło o to, co kryje się pod nią. Tam Niedokończony Miecz odnajdzie swój dom. Gdy przywrócisz go na miejsce, kraj będzie bezpieczny, a Płomienie przywrócone już po wsze czasy.

Alec wziął głęboki oddech, przyswajając sobie wszystkie te nowiny.

– Chcecie, bym udał się na północ? – zapytał. – Do wieży?

Skinęła głową.

– To będzie niebezpieczna podróż – odrzekła. – Na każdym kroku będziesz natykał się na wrogów. Zabierz ze sobą wojowników z Zaginionych Wysp. Wyruszenie przez Morze Smutku i nie zatrzymujcie się, póki nie dotrzecie do Ur.

Dała krok naprzód i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Zwróć miecz – rozkazała. – I ocal nas.

– A ty, pani? – zapytał Alec.

Zamknęła oczy i poczuła przeraźliwy ból. Od razu wiedziała, dokąd musi się udać.

– W tej właśnie chwili umiera Duncan – rzekła. – i tylko ja mogę go ocalić.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Aidan zmierzał przez pustkowia z ludźmi Leifalla. Kasandra jechała po jednej jego stronie, Anvin po drugiej, a Biały biegł przy nim. Galopowali, wzniesając tumany kurzu, a Aidan nie posiadał się z radości z powodu swego zwycięstwa i dumy. Pomógł osiągnąć niemożliwe, odwrócić bieg wodospadu, zmienić kierunek potężnych wód Everfall, skierować jego wody rwącym strumieniem przez równinę i zalać kanion – i ocalić swego ojca w samą porę. Zbliżali się już i Aidan, który pragnął spotkać się znów z ojcem, widział jego ludzi w oddali, nawet tutaj słyszał ich radosne okrzyki i przepełniała go duma. Udało im się.

Aidan nie posiadał się z radości, że on i jego ludzie przeżyli, że kanion został zatopiony, aż wylewała się z niego woda i wyrzucała tysiące martwych Pandezjan. Po raz pierwszy Aidan poczuł, że ma jakiś cel, że do czegoś przynależy. Mimo młodego wieku, znacząco przyczynił się do sprawy ojca i czuł się teraz jak równy pośród mężczyzn. Czuł, że jest to jedna z wielkich chwil w jego życiu.

Pędzili galopem w pełnym słońcu, a Aidan nie mógł się doczekać, aż zobaczy swego ojca, dumę w jego oczach, wdzięczność i nade wszystko – szacunek. Jego ojciec będzie teraz – Aidan był tego pewien – widział w nim równego sobie, jednego spośród nich, prawdziwego wojownika. Aidan nie pragnął nigdy niczego więcej.

Chłopiec jechał przed siebie, a w uszach dudnił mu tętent kopyt końskich. Pokryty był kurzem i spalony słońcem od długiej jazdy. Gdy wreszcie wspięli się na wzgórze i ruszyli w dół, ujrzał przed sobą ostatni odcinek drogi. Spojrzał na grupę ludzi swego ojca, serce biło mu niespokojnie z niecierpliwości – gdy nagle zorientował się, że coś jest nie tak.

W oddali ludzie jego ojca rozstępowali się na boki, a między nimi Aidan ujrzał jakąś postać, idącą samotnie przez pustynię. Dziewczynę.

To nie miało sensu. Co robiła tutaj dziewczyna, sama, i czemu szła w stronę jego ojca?

Dlaczego wszyscy mężczyźni zatrzymali się i przepuszczają ją? Aidan nie wiedział, co dokładnie jest nie w porządku, lecz po sposobie, w jaki serce tłukło mu się w piersi, coś w głębi duszy podpowiadało mu, że jego ojciec jest w niebezpieczeństwie.

Co dziwniejsze, gdy Aidan zbliżył się do nich, zbił go z tropu szczególny wygląd dziewczyny. Dojrzał jej zamszowo-skórzaną pelerynę, wysokie czarne buty, laskę u boku, jej długie, jasne włosy, dumny wyraz twarzy i jej rysy i zamrugał, zdezorientowany.

Kyra.

Jego konsternacja jedynie pogłębiła się. Patrząc, jak idzie, widząc jej chód i postawę, wiedział, że nie wszystko jest w porządku. Dziewczyna wyglądała jak Kyra, lecz to nie była ona. Nie była to siostra, z którą mieszkał całe życie, z którą spędził tak wiele godzin, czytając na jej kolanach.

Aidan był jeszcze sto jardów od nich, a serce waliło mu jak oszalałe. Był coraz bardziej przerażony. Schylił głowę, spiął konia i ponaglił go. Galopował tak szybko, że niemal nie mógł złapać oddechu. Miał coraz gorsze przeczucie, czuł nadchodzącą tragedię, patrząc na zbliżającą się do Duncana dziewczynę.

– OJCZE! – wrzasnął.

Był jednak zbyt daleko i wiatr zagłuszył jego krzyki.

Aidan przyspieszył, wyprzedzając pozostałych i pędząc w dół zbocza. Patrzył bezradnie, jak dziewczyna wyciąga ręce, by objąć jego ojca.

– NIE, OJCZE! – krzyknął.

Był pięćdziesiąt jardów od niego, później czterdzieści, później trzydzieści – jednak wciąż zbyt daleko i mógł jedynie wszystkiemu się przyglądać.

– BIAŁY, BIEGNIJ! – rozkazał.

Biały wyrwał do przodu, wyprzedzając nawet konie. Mimo tego Aidan wiedział, że nie zdąży.

Wtedy ujrzał, jak to się dzieje. Dziewczyna – ku przerażeniu Aidana – wyciągnęła rękę i zatopiła sztylet w piersi jego ojca, który otworzył szeroko oczy, osuwając się na kolana.

Aidan miał wrażenie, że i jego dźgnięto. Czuł, jak całe ciało mu słabnie, nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny. Wszystko stało się tak szybko, że ludzie jego ojca stali zdezorientowani, oniemiaли. Nikt nie wiedział nawet, co się dzieje. Lecz Aidan wiedział. Zorientował się od razu.

Dwadzieścia jardów od nich, Aidan, zrozpaczony, sięgnął do pasa, dobył sztyletu, który dostał od Motleya, zamachnął się i cisnął nim.

Sztylet poszybował w powietrzu, obracając się dokoła siebie, połyskując w słońcu, w stronę dziewczyny. Ta wyciągnęła swój sztylet, wykrzywiła twarz w grymasie i przygotowała, by znowu dźgnąć Duncana – gdy nagle trafił ją sztylet Aidana. Chłopak odczuł przynajmniej ulgę, patrząc, jak przebija tył jej dłoni, słysząc, jak dziewczyna krzyczy i upuszcza broń. Nie był to ludzki krzyk, a już z pewnością nie był to krzyk Kyry. Kimkolwiek była, Aidan ją zdemaskował.

Odwróciła się i spojrzała na niego, a wtedy Aidan patrzył z przerażeniem, jak jej twarz się zmienia. Dziewczęce rysy i sylwetka ustąpiły miejsca groteskowej, męskiej postaci, rosnącej z sekundy na sekundę, aż stała się większa niż którykolwiek z nich. Aidan otworzył oczy szeroko ze zdumienia. Nie była to jego siostra. Był to nie kto inny, jak Wielki i Święty Ra.

Ludzie Duncana także patrzyli w szoku. Jakimś cudem sztylet, który przebił jego dłoń przerwał iluzję, zniszczył magiczne zaklęcie, którego użył, by zwieść Duncana.

W tej chwili Biały rzucił się naprzód, skoczył wysoko, oparł się swymi wielkimi łapami o pierś Ra i przewrócił go na ziemię. Warcząc, pies szarpał jego gardło i drapał go. Przebierał łapami po jego twarzy, zaskakując go i uniemożliwiając mu przygotowanie do ponownego ataku.

Ra, mocując się z nim na ziemi, spojrzał ku niebiosom i wykrzyczał jakieś słowa, coś w języku, którego Aidan nie rozumiał, najwyraźniej rzucając jakieś pradawne zaklęcie.

I wtedy nagle Ra zniknął w obłoku kurzu.

Pozostał po nim jedynie leżący na ziemi okrwawiony sztylet.

A obok, w kałuży krwi, leżał nieruchomo ojciec Aidana.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wezuwiusz jechał przez pustkowia, kierując się na północ. Galopował na wierzchowcu, którego ukradł po zamordowaniu grupy pandezjańskich żołnierzy – i niszczył wszystko na swej drodze od tamtej pory, niemal nie zwalniając, przedzierając się przez jedną wieś za drugą, mordując niewinne kobiety i dzieci. Czasem wybierał jakąś osadę, by zdobyć jedło i broń; w inne zapuszczał się dla samej radości zabijania. Uśmiechnął się szeroko, gdy przypominał sobie, jak podkładał ogień w jednej osadzie po drugiej, jak w pojedynkę spalał je do cna. Pozostawi swój znak w Escalonie w każdym miejscu, w którym się znajdzie.

Wyjeżdżając z ostatniej osady, Wezuwiusz jęknął i cisnął płonąca pochodnię, patrząc z satysfakcją, jak upada na kolejny dach, podpalając kolejną wieś. Wypadał z osady z radością. Była to już trzecia, którą spalił w ciągu tej godziny. Spaliłby je wszystkie, gdyby mógł – czekały go jednak bardziej naglące sprawy. Pogonił konia kopniakiem, zdeterminowany, by dołączyć do swych trolli i poprowadzić je podczas ostatniej części najazdu. Potrzebowali go teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Wezuwiusz jechał i jechał, pokonując wielką równinę i wkraczając na północne ziemie Escalonu. Poczł, że jego wierzchowiec męczy się, ale tylko spał go mocniej. Nie dbał o to, czy go zajeżdżi – tak naprawdę miał nadzieję, że tak się stanie.

Słońce chyliło się ku zachodowi i Wezuwiusz czuł, że jego poddani są coraz bliżej i czekają na niego; wyczuwał to. Myśl o jego ludziach w Escalonie – wreszcie po tej stronie Płomieni – sprawiała mu ogromną radość. Jadąc jednak dalej, zastanawiał się, dlaczego jego trolle nie są już dalej na południu i nie plądrują całego kraju. Co je powstrzymywało? Czy jego generałowie są aż tak niekompetentni, że nie potrafią osiągnąć nic bez niego?

Po długim czasie Wezuwiusz wypadł wreszcie z lasu, a wtedy serce zadrżało mu na widok jego wojsk zebranych na równinie Ur. Dziesiątki tysięcy trolli zbierały się, co spostrzegł z radością. Był jednak skołowany: trolle nie wyglądały tak, jakby odniosły zwycięstwo, a raczej na pokonane, zagubione. Jak to możliwe?

Gdy Wezuwiusz obserwował swych żołnierzy, na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie. Bez niego wszyscy zdawali się stracić ducha, jak gdyby zupełnie utracili wolę walki. Płomienie opadły i Escalon wreszcie należał do nich. Na co czekali?

Wezuwiusz dotarł wreszcie do nich i gdy wpadł w tłum, galopując pomiędzy nimi, patrzył, jak odwracają się i spoglądają na niego w szoku, ze strachem, a później nadzieją. Wszyscy zamarli i wpatrywali się w niego. Zawsze wywierał na nich takie wrażenie.

Wezuwiusz zeskoczył ze swego wierzchowca i bez chwili wahania uniósł wysoko halabardę, zamachnął się i odrąbał koniowi łeb. Bezgłowy koń stał przez chwilę, po czym osunął się na ziemię martwy.

*To, pomyślał Wezuwiusz, za to, że nie biegleś wystarczająco szybko.*

Poza tym lubił zawsze uśmiercić coś, gdy przybywał w nowe miejsce.

Wezuwiusz ujrzał strach w oczach swych trolli, gdy ruszył w ich kierunku rozwścieczony, patrząc pytająco.

– Kto przewodzi tym żołnierzom? – zapytał.

– Ja, panie.

Wezuwiusz obrócił się i ujrzał wysokiego, tłustego trolla, Suvesa, zastępującego go dowódcę w Mardzie. Stał przed nim, a za nim dziesiątki tysięcy trolli. Wezuwiusz widział, że Suves stara się wyglądać dumnie, lecz w jego oczach krył się strach.

– Sądziłeś, że nie żyjesz, panie – dodał, jak gdyby tłumaczyć się.

Wezuwiusz spojrział na niego gniewnie.

– Ja nie umieram – warknął. – Śmierć jest dla tchórzów.

Trolle przyglądały się w strachu i ciszy, a Wezuwiusz na przemian rozluźniał i zaciskał rękę na halabardzie.

– A dlaczego zatrzymaliście się tutaj? – zapytał. – Dlaczego nie zniszczyliście całego Escalonu? Suves przenosił przestraszone spojrzenie ze swych ludzi na Wezuwiusza.

– Zostaliśmy zatrzymani, mistrzu – przyznał wreszcie.

Wezuwiusz poczuł przypływ wściekłości.

– Zatrzymani?! – warknął. – Przez kogo?

Suves zawahał się.

– Tego, którego zwą Alva – powiedział wreszcie.

*Alva.* To imię utkwiło głęboko w duszy Wezuwiusza. Najpotężniejszy czarnoksiężnik Escalonu. Być może jedyny, który dysponował większą mocą niż on.

– Stworzył szczelinę w ziemi – wyjaśnił Suves. – Kanion, którego nie potrafiliśmy przekroczyć. Oddzielił południe od północy. Zbyt wielu spośród nas zginęło już, próbując go przejść. To ja odwołałem atak, ja ocaliłem wszystkie trolle, które tutaj widzisz. To mnie należą się podziękowania za ocalenie ich cennego życia. To ja ocaliłem nasz naród. Dlatego, panie, proszę, byś mnie awansował i pozwolił objąć dowództwo. Wszak ten naród słucha teraz mych rozkazów.

Wezuwiusz poczuł, że gotuje się ze złości tak bardzo, że zaraz wybuchnie. Dał dwa szybkie kroki i drżącymi rękoma zamachnął się mocno halabardą, i odciął głowę Suvesowi.

Suves upadł na ziemię, a reszta trolli patrzyła w szoku, z przerażeniem.

– Proszę – odrzekł Wezuwiusz do martwego trolla. – Oto twoje dowództwo.

Wezuwiusz spojrzał na swój trolli naród z odrazą. Rozejrzał się po szeregach, patrząc uważnie na ich gęby, siejąc w nich strach i panikę, co bardzo lubił robić.

Wreszcie odezwał się, a jego głos przypominał warczenie.

– Leży przed wami wielkie południe – ryknął swoim mrocznym głosem, przepętnionym furją.

– Te ziemie należały niegdyś do nas, zostały odebrane waszym pradziadom. Te ziemie były niegdyś częścią Mardy. Skradli nam to, co należy do nas.

Wezuwiusz wziął głęboki oddech.

– Ci z was, którzy lękają się iść naprzód – poznam wasze imiona i imiona waszych rodzin i każę każdego z was torturować powoli, jednego za drugim, a później pošlę, byście gnili w lochach w Mardzie. Ci, którzy chcą walczyć, ocalić swe życie, odzyskać to, co należało niegdyś do waszych pradziadów, przyłączą się teraz do mnie. Kto wyrusza ze mną? – zawołał.

Rozległy się donośne wiwaty, głośnie pomruki w szeregach, rząd za rządem, daleko jak okiem sięgnąć, gdy trolle unosiły halabardy i wykrzykiwały jego imię.

– WEZUWIUSZ! WEZUWIUSZ! WEZUWIUSZ!

Wezuwiusz wydał z siebie głośnym okrzyk bitewny, obrócił się i ruszył biegiem na południe. Za sobą usłyszał hałas, niby przetaczającego się grzmotu, tupot tysięcy podążających za nim trolli, wielkiego narodu zdecydowanego zniszczyć Escalon raz na zawsze.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kyra leciała na grzbiecie Theona, pędząc na południe przez Mardę. Z wolna dochodziła do siebie, gdy opuszczała tę mroczną krainę. Czuła się potężniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. W prawej ręce dzierżyła Berło Prawdy, z którego emanowało światło spowijające ich oboje. Wiedziała, że ten oręż jest potężniejszy niż ona; był to przedmiot przeznaczenia, który napełniał ją swoją mocą, rozkazujący jej tak, jak ona rozkazywała jemu. Trzymając go w dłoni, czuła, że wszechświat jest silniejszy, że ona jest silniejsza.

Kyra miała wrażenie, że trzyma w dłoni oręż, który miała dzierżyć od dnia, w którym przyszła na świat. Po raz pierwszy w życiu pojęła, czego jej brakowało, czuła, że berło ją dopełnia. Ona i to berło, ta tajemnicza broń, którą pozyskała z dalekich zakątków Mardy, były jednym.

Kyra leciała na południe. Także Theon, na którego grzbiecie siedziała, stał się większy i silniejszy. Furia i żądza zemsty w jego ślepiach odpowiadały tym w jej oczach. Lecieli i lecieli, godziny mijały, a mrok wreszcie zaczął się rozrzedzać i na horyzoncie pojawiła się zieleń Escalonu. Kyrze serce zabiło szybciej na widok ojczystych ziem; nie sądziła, że jeszcze je ujrzy. Poczuła, że musi się pospieszyć; wiedziała, że jej ojciec, otoczony przez armię Ra, potrzebuje jej na południu; wiedziała, że na ich ziemiach roi się od pandezjańskich żołnierzy; wiedziała, że pandezjańska flota przeprowadza atak na Escalon od morza; wiedziała, że gdzieś wysoko w górze kołują smoki, także łaknące zniszczenia Escalonu; wiedziała też, że trolle najeżdżają ich kraj, że miliony tych stworów roznoszą jej ojczyznę na strzępy. Escalon był nękany ze wszystkich stron.

Kyra zamrugała i spróbowała wyprzeć z myśli okropne wspomnienie równanej z ziemią ojczyzny, rozrzuconego wszędzie gruzu, ruin i popiołu. A jednak zaciskając mocniej dłoń na berle, wiedziała, że ta broń może być ich nadzieją na ratunek. Czy to berło, Theon i jej moce naprawdę mogą ocalić Escalon? Czy coś, co zostało już tak zniszczone, może zostać uratowane? Czy Escalon może choćby marzyć o powrocie do tego, czym był niegdyś?

Kyra tego nie wiedziała. Lecz nie traciła nadziei. Tego nauczył ją ojciec: nawet w najczarniejszej godzinie, gdy wszystko zdaje się beznadziejne, nawet jeśli zdaje się, że są całkowicie zniszczeni, zawsze pozostaje nadzieja. Zawsze tli się jakaś iskra życia, nadziei, zmian. Nic nie jest nigdy ostateczne. Nawet zniszczenie.

Kyra leciała i leciała, czując, jak do głosu dochodzi jej przeznaczenie. Poczuła przypływ optymizmu i z każdą chwilą czuła się coraz potężniejsza. Popadła w zadumę i poczuła, że pokonała coś w głębi siebie. Przypomniła sobie rozcięcie pajęczej sieci i miała wrażenie, że gdy ją przecięła, rozcięła także coś wewnątrz siebie. Była zmuszona sama się o siebie zatroszczyć i zwyciężyła największe demony w swym wnętrzu. Nie była już tą dziewczyną, która dorastała w forcie w Volis; nie była nawet tą samą dziewczyną, która wyprawiła się do Mardy. Powróciła jako kobieta. Jako wojowniczką.

Kyra spojrzała w dół przez chmury, wyczuwając że krajobraz w dole zmienia się, i spostrzegła, że dotarli wreszcie do granicy, na której wznosiły się niegdyś Płomienie. Przyglądając się wielkiemu urwisku kątem oka wychwyciła jakiś ruch.

– Niżej, Theonie.

Zanurkowali pod ciężkie chmury i gdy mrok rozrzedził się, uradowała się na widok ziem, które kochała. Nie posiadała się z radości, widząc swe ziemie, wzgórza i drzewa, które знаła, czując woń powietrza Escalonu.

Jednak gdy spojrzała ponownie, serce jej zamarło. W dole kłębiły się miliony trolli, zapełniające ziemie, pędzące na południe z Mardy. Przypominało to masową wędrówkę zwierząt, a tupot ich nóg słyszalny był nawet tutaj. Patrząc na to, nie sądziła, by jej pobratymcom udało się odeprzeć taki atak. Wiedziała, że jej ludzie jej potrzebują – i to natychmiast.

Kyra poczuła, jak Berło Prawdy drży w jej dłoni, a następnie wydaje wysoki dźwięk, jakby gwizd. Czowała, że wzywa ją do działania, domagając się, by zaatakowała. Kyra nie wiedziała, czy to ona rozkazywała berłu, czy też ono jej.

Wycelowwała berłem ku ziemi, a wtedy dobył się z niego trzask. Miała wrażenie, że dzierży w dłoni grzmot i błyskawicę. Przyglądała się zafascynowana, jak kula intensywnego światła wyrывa się z berła i pędzi ku ziemi.

Setki trolli zatrzymały się i zadarły głowy. Kyra dojrzała panikę i przerażenie na ich twarzach, gdy patrzyły na kulę światła spadającą na nie z nieba. Nie zdążyły uciec.

Po tym nastąpił wybuch tak silny, że fala uderzenia z ziemi zachwiała nawet Theonem i Kyra. Kula światła uderzyła w ziemię z siłą komety. Gdy rozeszła się w dole, tysiące trolli upadły, miażdżone coraz bardziej się rozprzestrzeniającą falą światła.

Kyra spojrzała na berło ze zdumieniem. Zamachnęła się, by użyć go ponownie, by zmieść armię trolli z powierzchni ziemi – lecz wtem rozległ się nad nią przeraźliwy ryk. Podniosła wzrok i ku swemu zaskoczeniu ujrzała wielki pysk szkarłatnego smoka wyłaniającego się z chmur – a za nim tuzin innych. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że te smoki ich szukały.

Nim Kyra zdołała zaatakować je berłem, jeden z gadów zamachnął się na Theona szponami. Zaskoczyło go to i silny cios pchnął go w tył, aż zaczął się obracać dokoła siebie.

Kyra trzymała się z całych sił, gdy wirowali w powietrzu, niemal nad tym nie panując. Theon obrócił się tak, że skrzydła miał w dole i próbował wyrównać lot, obracając się raz za razem, a Kyra ledwie utrzymywała się na jego grzbiecie, zaciskając ręce kurczowo na łuskach gada, aż wreszcie udało im się.

Theon ryknął wyzywająco i choć był mniejszy niż pozostałe smoki, bez cienia strachu rzucił się w górę na gada, który go zaatakował. Ten był wyraźnie zaskoczony, że mniejszy Theon nie poddał się i nim zdążył zareagować, Theon zatopił swoje zębiska w jego ogonie.

Duży smok ryknął, gdy Theon odgryzł jego ogon. Przez chwilę leciał bez ogona, po czym stracił równowagę i runął w dół łbem do przodu, prosto w znajdującą się pod nim ziemię. Upadł z hukiem, tworząc krater i wzniciając chmurę kurzu.

Kyra uniosła berło, czując jak pali ją w dłoni, i zamachnęła się, widząc jak zbliżają się trzy kolejne smoki. Patrzyła, jak kula światła wypada naprzód i uderza je w pyski. Gady pisnęły, zatrzymały się gwałtownie w powietrzu i zamachały łapami. Znieruchomiały, po czym runęły prosto w dół, jak kamień, aż one także uderzyły w ziemię z hukiem, martwe.

Kyrę zadziwiła jej moc. Czy Berło Prawdy rzeczywiście uśmierciło właśnie trzy smoki jednym uderzeniem?

Uniosła ponownie berło, gdy na niebie pojawił się kolejny tuzin smoków i gdy opuściła broń, spodziewając się, że smoki padną, ku swojemu zaskoczeniu poczuła nagle przeraźliwy ból w dłoni. Odwróciła się i kątem oka spostrzegła smoka, który spadał na nią od tyłu, a jego szpony drasnęły wierzchnią stronę jej dłoni. Rozciął jej dłoń, aż dobyła się z niej krew, zaraz pochwycił Berło Prawdy i wyrwał je Kyrze z dłoni.

Dziewczyna wrzasnęła, bardziej z przerażenia, że straciła berło, niż z bólu. Patrzyła bezradnie, jak smok odlatuje, zabierając ze sobą jej oręż. Po chwili upuścił je i Kyra przyglądała się przerażona, jak berło spada w powietrzu, obracając się dokoła siebie, w kierunku ziemi. Berło, ostatnia nadzieja Escalonu, zostanie zniszczone.

A bezbronna Kyra musiała zmierzyć się ze stadem smoków, które gotowe były rozszarpać ją na strzępy.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lorna, czując, że coś ją ponagla, przemierzała żwawym krokiem obozowisko, a ludzie Duncana rozstępowali się na boki. U jej boku szedł Merk, któremu towarzyszył Sovos i tuzin mężczyzn z Zaginionych Wysp, wojowników, którzy odłączyli się od pozostałych i przyłączyli do nich w wyprawie z Zatoki Śmierci z powrotem na stały ląd, i przebyli z nimi całą drogę aż tutaj na pustynię, za Leptus. Lorna prowadziła ich tutaj z determinacją, wiedząc, że Duncan jej potrzebuje.

Zbliżając się, Lorna spostrzegła, że żołnierze Duncana patrzą na nią ze zdumieniem. Ustępowali jej z drogi, aż dotarła wreszcie na nieduży plac, na którym leżał Duncan. Zatroskani wojownicy skupili się dokoła niego, klęcząc u jego boku, poważnie zmartwieni tym, że ich dowódca kona. Ujrzała łkających Anvina i Aidana, a przy nich Białego. Żaden inny dźwięk nie rozchodził się w pełnej napięcia ciszy.

Chciała podejść do Duncana, lecz jakaś dłoń zatrzymała ją. Lorna stanęła i obejrzała się. Merk i Sovos naprężyli się i położyli dłonie na mieczach, lecz ona powstrzymała ich delikatnym ruchem dłoni. Chciała uniknąć starcia.

– Kim jesteś i po coś tu przyszła? – zapytał surowo wojownik Duncana.

– Jestem córką króla Tarnisa – odrzekła z przekonaniem. – Duncan próbował ocalić mego ojca. Przybyłam, by odwdziżyć się mu tym samym.

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego.

– Jego rana jest śmiertelna – rzekł wojownik. – Widziałem takie wiele razy zadane w boju. Nie można mu już pomóc.

Tym razem to Lorna zmarszczyła brew.

– Trwonimy czas. Czy chcesz, by Duncan umarł tutaj, by się wykrwawił? Czy też może mam spróbować go uzdrowić?

Wojownicy byli do niej sceptycznie nastawieni po zetknięciu z Ra i jego czarami. Spojrzeli po sobie. Wreszcie Anvin skinął głową.

– Przepuście ją – powiedział.

Rozsunęli się na boki, Merk i Sovos opuścili broń, a Lorna podeszła spiesznym krokiem do Duncana i przyklękła przy nim.

Przyjrzała się mu uważnie i natychmiast poznała, że jest w złym stanie. Wyczuwała wokół niego czarną aurę śmierci, a gdy spojrzała na jego zamknięte, drżące powieki, wiedziała, że zbliża się jego koniec. Niebawem opuści tę ziemię. Cios Ra wyrządził wielkie szkody, nie tyle ze względu na sztylet, lecz – jak wyczuwała Lorna – ze względu na poczucie zdrady, które za nim stało. Duncan wciąż sądził, że to Kyra go dźgnęła i kobieta wyczuła w jego aurze, że z tego właśnie powodu stracił wolę życia. Odbierało mu to jego siły życiowe.

– Czy potrafisz ocalić mego ojca?

Lorna obejrzała się i zobaczyła Aidana. Miał zaczerwienione oczy, policzki mokre od łez i patrzył na nią z nadzieją i rozpaczą. Wzięła głęboki oddech.

– Nie wiem – odrzekła po prostu.

Lorna położyła jedną dłoń na czole Duncana, a drugą na jego ranie. Zaczęła nucić jakiś pradawny hymn i wszyscy z wolna ucichli. Aidan przestał łkać. Lorna poczuła ogromne ciepło przepływające przez jej dłonie, zmagające się z jego raną. Zamknęła oczy i przyzywała całą moc, jaką dysponowała, próbując odczytać jego przeznaczenie, pojąć, co się stało, co szykował dla niego los.

Z wolna ujrzała wszystko. Duncan miał umrzeć dzisiaj, tutaj. Takie było jego przeznaczenie. Tutaj, w tym miejscu, na tym polu bitewnym, po wielkim zwycięstwie w kanionie. Lorna ujrzała wszystkie bitwy, jakie stoczył w swym życiu; zobaczyła, jak stał się wojownikiem, dowódcą; zobaczyła ostatnią i największą bitwę, jaką stoczył tutaj, w kanionie. Miał nie przeżyć zalania kanionu. Miał umrzeć zaraz po nim. Doprowadził rewolucję tak daleko, jak miał to uczynić.



Wyczuła, że jego córka, Kyra, leciała, zmierzała tutaj, miała przejąć dowodzenie. Duncan miał umrzeć w tej chwili.

Jednak klęcząc przy nim Lorna przyzywała moc wszechświata i błagała go, by zmienił jego los, jego przeznaczenie. Duncan był wszak jedynym prawdziwym przyjacielem jej ojca, króla Tarnisa, nawet wtedy, gdy wszyscy inni się od niego odwrócili. Był tym, którego jej ojciec prosił, by przyszedł jej z pomocą. Była mu to winna przez wzgląd na swego ojca. Przeczuwała także w głębi duszy, że Duncanowi być może pozostała jeszcze jedna wielka bitwa do stoczenia.

Lorna walczyła z losem, czując, że ta walka ją wyczerpuje. Czuła, że toczy się w niej wielka bitwa duchów, gdy zmagala się z mocami, których nie powinna była niepokoić. Z niebezpiecznymi mocami. Mocami, które mogły ją zabić. Wszak losu nie należało lekceważyć.

Mocując się z nimi, Lorna poczuła, że życie Duncana waży się na szali. Kobieta opadła wreszcie z wyczerpania, oddychając ciężko, a wtedy nadeszła odpowiedź: odniosła zwycięstwo, a zarazem poniosła porażkę. Życie Duncana zostanie przedłużone – lecz nie na długo. Stoczy jedną, ostatnią bitwę, ujrzy twarz córki, swej *prawdziwej* córki, i zginie w jej ramionach. To już coś.

Lorna zadrżała, czując mdłości, obezwładniona mocami, z którymi się zmagala. Paliły ją dłonie, i wreszcie rozległ się błysk, uczucie, jakiego wcześniej nie znała, i odrzuciła ją jego moc. Upadła na plecy kilka stóp dalej.

Merk szybko ją podniósł. Lorna przyklękła, osłabiona, złana zimnym potem.

Kilka jardów dalej Duncan leżał nieruchomo, a Lorna poczuła się obezwładniona magią tego, co przyzywała.

– Pani, co się stało? – zapytał Anvin.

Z trudem oczyściła umysł i znalazła słowa.

W zaległej ciszy Aidan dał krok naprzód i odezwał się rozpaczliwym tonem.

– Czy mój ojciec będzie żył? – zapytał błagalnie. – Proszę, powiedz mi.

Wycieńczona Lorna zebrała siłę, by skinać słabo głową tuż przed tym, jak zemdlała.

– Tak, chłopcze – powiedziała. – Lecz niedługo.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Aidanowi było wstyd, lecz choć starał się jak tylko mógł, nie potrafił się powstrzymać przed płaczem. Skrył się na tyłach obozowiska, w jaskini na obrzeżach pola, z nadzieją, że będzie sam. Nie chciał, by któryś z mężczyzn widział jego łzy. Jedyne Białe siedział przy jego nodze i skomlał. Chłopiec pragnął powstrzymać łzy, lecz nie potrafił. Zawładnął nim żal z powodu rany ojca.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.